

MARJA REUTTOWNA
W CYGAŃSKIM
OBOZIE



KSW

MARJA REUTTÓWNA

W CYGAŃSKIM OBOZIE

POWIEŚĆ

Z TRZEMA ILUSTRACJAMI W. STANISŁAWSKIEJ



13 R
FASON JAN
POZNAN

NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAN — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

63

A Wojciechowski

301-
FUNDACJA
No 327v [w kancelarii]

(Jev B. Sweder)

I. Ucieczka.

Od trzech dni były działa w przerażone, zastygłe w niepojętym strachu miasto. — Skąd to przyszło? Skąd spadło na cichy, spokojny gród? Wprawdzie wojna już się rozszalała na dobre, krew lała się, ale tu nikt nie podniósł ręki do walki. Wojska rosyjskie odeszły, zanim ci przyszli. Mieszkańcy obojętnie przyjęli nowych najęźdźców. Wszystko jedno, odszedł jeden wróg, przyszedł drugi, z nami się oni nie biją. — Nasza rzecz cicho siedzieć. Tak orzekli starsi, ci wszyscy, którzy w mieście pozostali. A ludność ich usłuchała. Aż tu we dwa dni po przybyciu Niemców padł strzał. Kto strzelił, nikt nigdy nie wykrył. Może i byli tacy, którzy dobrze wiedzieli, kto i poco strzelał. W mieście jednak imię to pozostało nieznanem.

W odpowiedzi na jeden strzał posypały się tak liczne, że stare mury Kalisza oprzeć się im nie mogły. Niemcy stali w mieście i burzyli je swemi działami. Po pierwszej chwili odrętwienia przyszedł strach okropny. Lęk nieznany dotąd nikomu. Ludzie zapominali o wszystkim. Rzucono dom, mienie i rozbiegano się w różne strony. Nikt nie wiedział, dokąd ma uciekać, gdzie

się kryć, każdy tylko gnał co sił z miasta. Uciekali nie tylko ci, których dzielnica była ostrzelana, ale i ci, którzy mieszkali w spokojnej części, nieruszonej przez wroga.

Nie było kolei, samochodów. Ratował się więc każdy jak mógł. Szczęśliwsi złapali jakieś nędzne, nie nadające się do wojska konie. Przeważnie wybiegano w popłochu pieszo. — Nie było chyba w te straszne dni jednego domu w mieście, z któregoby ludzie nie uciekali, a już co najmniej nie sposobili się do ucieczki.

Tylko w jednym niewielkim mieszkaniu, na odległym przedmieściu nie myślano o ratowaniu życia.

Mały, siedmioletni chłopak i chora ciężko jego matka niewiele wiedzieli o tem, co się dzieje w mieście i o ucieczce nie myśleli. Matka była nieprzytomna od kilku dni, a chłopak od niej nie odchodził nigdzie. Byli obcymi w nieznanym mieście. Służąca świeżo przyjęta, zaraz po przyjęściu wojsk pruskich odeszła. Bała się Niemców. Chorą i dzieckiem zaopiekowała się poczciwa pani Maciejowa, żona dozorca domu. Ona przynosiła im obiady, mleko i chleb, od chwili jednak jak zahuczały armaty, coraz rzadziej tu zaglądała. Jurek opiekował się matką. Kręcił się przy jej łóżku, opędzał muchy, podawał wodę, o którą co chwila prosiła i od czasu do czasu, gdy do uszu jego doszedł silniejszy huk dział, biegł do okna wyglądać.

Nic jednak dojrzeć nie mógł. Domek, w którym mieszkali, ukryty był w ogrodzie, wśród starych drzew i poza zielenią i kwiatami widniała tylko zdaleka srebrzysta woda Prosny. Żadnej

bitwy ani śladu. Patrzył więc w okno Jurek, słuchał i naśladując huk armat, głośno wołał:

— Bum, bum, bum!

Wyjść z mieszkania nie mógł, bo drzwi były zamknięte a klucz od nich u Maciejowej. Czasem popłakiwał, patrząc na bezwładną matkę, tulił się wtedy do niej i zmożony łzami, samotnością i głodem usypiał. Mocniej znowu zahuczały armaty, miasto całe zatrzęsło się w posadach, chłopak zerwał się z łóżka i pobiegł do okna.

W tej chwili otworzyły się szeroko drzwi i wpadła przez nie, jak olbrzymia bomba, gruba pani Maciejowa.

— Rany Boskie — zawołała, biegnąc do łóżka — paniusia to tak ciągiem leży, a tu trzeba co tchu uciekać. Wstawać, wstawać paniusiu, bo nas te diabły pruskie zakatrupią.

I targając chorą za ramię, szarpała nią, aż ta wkońcu spojrzała na nią przytomnie.

— Trzeba wstawać, paniusiu, trzeba — mówiła uradowana kobieta. — Niech się pani ździebko podniesie. Pomogę, odzieję i w drogę.

— Co wy mówicie, Maciejowo? uciekać dokąd i poco — szepnęła chora.

— W świat! gdzie oczy poniosą — odpowiedziała szybko podnosząc chorą i narzucając jej odzież. — Tu w mieście, mówią, kamień na kamieniu nie zostanie, wymordują i starych i dzieci.

— Jurek — krzyknęła chora i w jednej chwili dźwignęła się z łóżka.

Szybko ubierała ją Maciejowa, wyciągnęła z szafy trochę bielizny, ubrała Jurka, potem zabrała poduszkę i zawiniątko i zbiegła nadół. Po chwili wróciła z mężem.

— Trzeba panią znieść — mówiła — bo słaba taka, że sama nie zejdzie.

— Wogóle nie wiem, czy nie lepiej będzie jak tu zostanie — rzekł chytrze chłop — słaba, a na wozie trzęsie się...

— Nie gadaj po próżnicy — zawołała żona — jużem ci powiedziała, że chrześcijańskiej duszy w tem mieście nieszczęsnem nie zostawia. Bierz i nieś. Ja chłopca wezmę.

Maciej nasunął czapkę na głowę i posłusznie wziął chorą w ramiona.

Za chwilę cała rodzina Macieja, składająca się z pięciorga dzieci, dwóch kur w klatce zamkniętych, kota w ramionach pyzatej Józki i Burka, którego ukrywał starannie Stefek, wyjeżdżała w świat małym drabiastym wózkiem. Na wozie wśród dziatwy leżała chora, a Jurek uszczęśliwiony nieznana sobie podróżą usiadł na przedzie obok Stefka i pilnie wraz z nim zajęty był ukrywaniem psa.

Na wózku złożone było całe mienie rodziny, powiązane w węzły i tobołki. Właściciele szli oboje pieszo, bo już miejsca na wozie nie było i krzynki.

Maciej szedł markotny. Koń był słaby, rzeczy sporo, a tu mu baba wsadziła tę chorą i cudzego chłopaka.

Sprzeciwiać się jej jednak nie wiedział sposobu. Coby to pomogło? Ktoby ją przeparał? Zawdy na swoim postawi. A chora tymczasem zmęczona wysiłkiem i targana nielitośnem trzęsieniem skaczącego po kamieniach wózka, zesłabła zupełnie. Głowa bolała ją, powieki ciężły.

Traciła świadomość tego, co się z nią działo i co ją otaczało.

Po drodze spotykano uciekających, ale Maciej przezornie, jak tylko wyjechali za miasto, skręcił z gościńca, wjechał na jakąś polską drogę, a potem bokiem, bez drogi, jechał polami nie zwracając uwagi na rżysko lub zasiane pole. — Gnał naprawdę w świat. W ten sposób odbił się od tej ciżby ludzi, co waliła wszelkimi możliwymi drogami i pewniejszy był, że mu nikt konia i wozu nie zabierze. Od samego wyjazdu z domu tyle pożądlivych, zazdrosnych spojrzeń widział zwróconych na swego ślepego kasztanka.

Jadąc tak naprzelaj, nagnali podróżnego. Chłop był duży, silny, dźwigał na plecach węzeł z odzieżą i dziecko na ręku.

Zobaczywszy jadących skoczył do Macieja i prosił, by mu aby dziecko podwieźli. Niesposób było odmówić. Siadła więc dziewczynina trzyletnia na wóz, złożyła jasną głowinę na nogach chorej i usnęła jak ptaszek mały.

— A żony to nie macie? — zagadnęła Maciejowa.

Ściągnęły się brwi obcego. Skurcz bolesny przebiegł po twarzy.

— A juści, że nie mam, — rzekł twardo. — Wczoraj wyszła po wodę i już nie wróciła.

— Co mówicie! — zawołała kobieta — zginęła?

— Niemcy zastrzelili, znalazłem ją nad rzeką. Piersi miała przebite kulą karabinową. Psiakrewy te, bodaj z piekła nie wyszli — zaklął i ryknął płaczem.

Popłakała się z nim i Maciejowa, a gdy się nieco uspokoił, zaczął opowiadać:

— Samochcąc na śmierć się wydała. Jakem tylko zasłyszał, że te potępieńcy tu idą, zaraz mówilem: — Maryś uciekajmy. — Ani gadać nie dała. — Co ci w głowie, dom, ziemię rzucisz i pójdziesz na włóczęgę, na poniewierkę. Ani się ruszę. Jak mam umrzeć, to już tylko na swojej ziemi i w swoim kącie. — I tak się stało. Pochowałem ci ją dzisiaj raniutko, zabrałem Julkę i w świat, gdzie oczy poniosą. A ona tam została nieboga, na swojej ziemi.

Tak rozmawiając, dowlekli się ku zachodowi słońca do jakiejś bocznej drożyny. Opodał był niewielki lasek. Mężczyźni uradzili, że tu należy przenocować. Konia trzeba było nakarmić, a i sami zdrożeni się czuli.

Zawrócono pod drzewa i za chwilę dziatwa jak wróble skakała, świergocąc po lesie. Maciejowa chciała zostawić chorą na wozie, bała się dla niej nocnego chłodu.

Ale Maciej innego był zdania. Wyniósł przy pomocy nowego towarzysza podróży chorą i ułożono ją na pledzie pod drzewem.

Maciejowa podłożyła jej poduszkę pod głowę.

— Mnie się widzi — rzekł obcy chłop — że ta chudzina już jutra nie obaczy; i pocóżcie ją ze sobą brali w taką drogę?

— A no widzisz — odezwał się Maciej do żony — mówilem ci przecie, ale jak się baba uprze...

— Cicho bądź, stary — krzyknęła kobieta — pamiętaj, że Bóg ma miłosierdzie tylko nad miłośnymi.

Obaj mężczyźni wzruszyli ramionami i odeszli do wozu. Jerzyk usiadł przy matce, a Maciejowa zajęła się przyrządzeniem posiłku. Działwa uszczęśliwiona ze swobody rozbiegła się po polu, zbierano gałęzie i suche liście na ogień, bo matka zapowiedziała, że ugotuje wieczerzę, do której wszyscy wzdychali, bo od samego śniadania nikt nic nie jadł.

I Jerzyk był głodny, to też gdy go Maciejowa zawołała do ognia, poszedł chętnie i kwaśne mleko z kartoflami smakowało mu bardzo. Chleba zato nie tknął, choć go Maciejowa zachęcała. Bolała go głowa i senny był, to też za poradą swej opiekunki poszedł zaraz się położyć obok leżącej bez ruchu matki.

— Czemu mama tak nic się nie odzywa? — zapytał chłopczyk Maciejową. — Czemu ma tak zamknięte oczy?

— Nic jej nie będzie — uspokajała pocziwa kobieta. — Prześpi się spokojnie, wypocznie i będzie zdrowa.

Ale noc minęła, o świcie Maciej zaprzął konia, trzeba było jechać dalej, a pani Żurawska leżała wciąż jak martwa, nie odzywała się wcale, nie jęczała, nie majaczyła, ale i oczu nie otwierała. Pani Maciejowa załamała ręce. A Maciej i ów obcy kiwali tylko głowami.

— Już jej nikt nic nie robi — rzekli obaj — ani Moskal ani Niemiec, może tu spokojnie ostać.

— A ja wam mówię — zawołała Maciejowa — że ona tylko naszczęć zesłała. W drodze jej to minie.

— A cóż ty sobie myślisz — odezwał się mąż — że ja umarłych będę woził, czy co?

— Na mój rozum — odezwał się obcy — to tę panią należałoby tu ostawić. Jeśli jeszcze nie skończyła, to już jej niewiele brak; lepiej jej tu będzie umierać, niż na trzęsącym wozie.

Maciejowa chciała jeszcze coś mówić, ale mąż nie dał jej przyjść do słowa.

— A co z chłopcem pocniemy? — spytała żona — przecie go tak nie rzucimy na drodze.

— Wozić go też po świecie nie myślę — odparł mąż. — Mało mam swoich do wykarmienia?

— Śpi mocno, to go zostawcie przy matce — odezwał się podróżny — niech śpią razem, lepiej im będzie ze sobą niż każdemu z osobna.

— Jakże tak te chudzieta rzucać... — odezwała się kobieta.

— Cicho tam — zawołał mąż — rób co ci każe i basta.

Ułożono więc śpiącego Jurka obok matki, liściowa kobieta otuliła ich pledem i nic nie mówiąc już nikomu, położyła przy śpiących kawał chleba i butelkę z mlekiem.

Gdy złote słońce sierpniowego dnia zajaśniało ponad ziemią, pierwsze jego promyki padły na leżącą nieruchomo kobietę i przytulonego do jej boku jasnowłosego chłopczyka.

Byli sami, zupełnie sami, szumiały tylko ponad nimi stare jodły, a wdali turkotał wózek Macieja.

Jurek nie wiedział, jak długo spał, obudziła go jakaś mała muszka, co mu na nosku usiadła i łaskotliwie zaczęła po nim w prawo i w lewo chodzić. Chłopczyk spędził ją raz i drugi, ale uparte

stworzenie póty siadało mu to na czole, to na buzi, to znowu na nosku, aż się obudził i ze zdumieniem podniósł się z ziemi.

Jurek spojrzał dokoła. Nic nie rozumiał, leżał na ziemi w lesie, przy matce. Nikogo nie było tu więcej. A mama spała tak twardo. Skąd się oni tu wzięli oboje?

Nic sobie przypomnieć nie mógł, zaczął więc budzić mamę, targać ją za rękaw, wołać najczulszymi słowami. Nic nie pomagało. Nie otwierała oczu, nie odzywała się wcale. Próżno ją prosił i całował. Przerażony głośno płakać zaczął. Ale i tego płaczu nikt nie słyszał. Mama wciąż spała, a nad nimi tylko drzewa szumiały.

Wstał, obszedł naokoło, spojrzał i naraz przypomniał sobie, że to oni wczoraj jechali z Maciejem i jego żoną. I dzieci tam były, a potem to oni wszyscy siedzieli pod drzewem i Maciejowa im jeść dawała, a później poukładała ich do snu. A gdzież teraz Maciejowa i dzieci i Maciej i koń i wózek? Pewno wszyscy gdzieś śpią wśród drzew. Szukał pilnie, wołał Maciejową, lecz wszystko na próżno. Znalazł tylko butelkę z mlekiem i chleb zostawiony z miłosierdzia. Usiadł więc na ziemi, ułamał kawał chleba, odkorkował butelkę i pociągnął łyk mleka. Pijąc przypomniał, że możeby mamusia zechciała się napić. Wszak przedtem w Kaliszu i na wozie wciąż wołała wody. Poszedł więc do niej z butelką i znowu budził, wołał i prosił, by chociaż oczka otworzyła, wszystko na próżno. Wybuchnął tym razem gwałtownym płaczem i póty płakał, aż znowu zamknęły mu się oczy i splakany, zmęczony usnął obok matki.

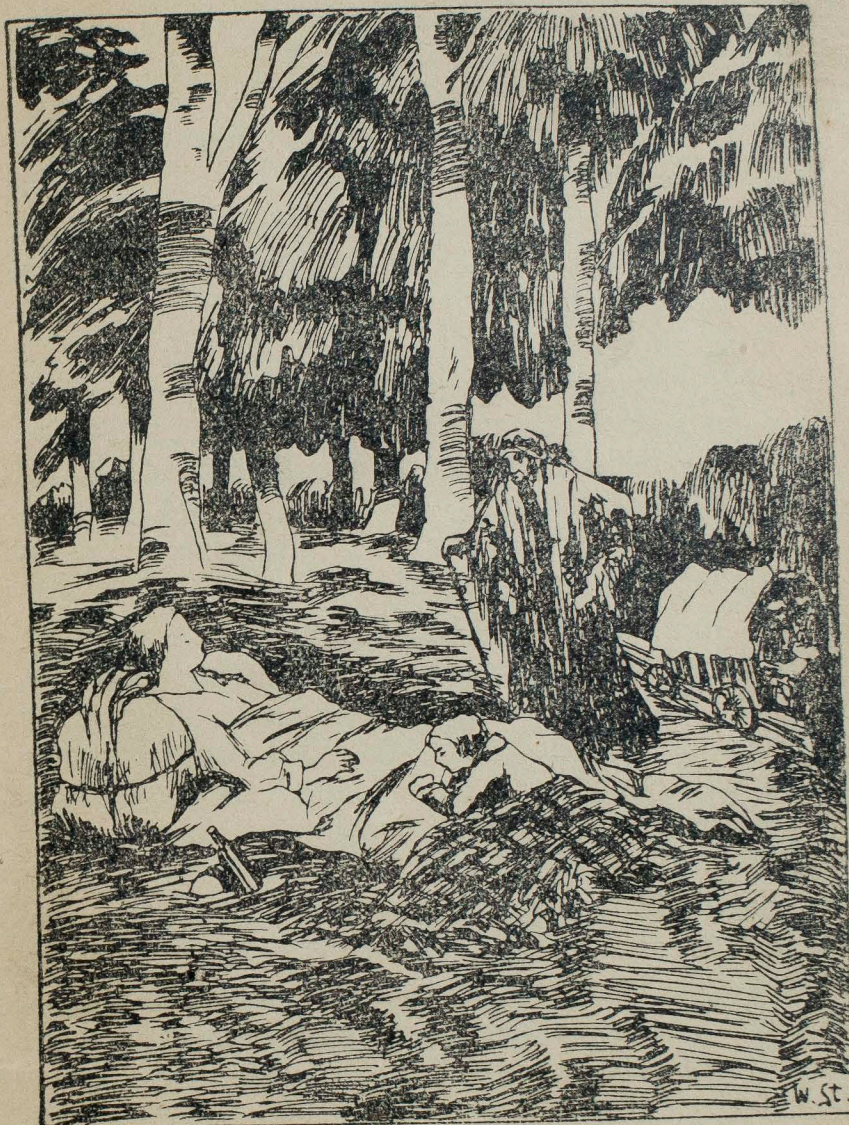
II. U Cyganów.

A tymczasem znowu wóz jakiś skręcił do lasu. Właściwie była to buda płócienna, rozpięta ponad dużym wozem, w którym jak w arce Noego siedzieli ludzie dorośli, dzieci, ptaki i zwierzęta pospół. Ogromny mężczyzna z czarną brodą i takąż czupryną powoził, a z budy coraz to wychylały się jakieś postacie, to młode, to stare, zgrzybiałe z rozczochranymi włosami i wyrzucając gwałtownie rękami, coś sobie opowiadały. Za tym pierwszym wozem jechał drugi i trzeci i czwarty. Przejeżdżali drogą koło lasu, pierwszy woźnica dojrzał leżących pod drzewem, wstrzymał konie i batem wskazał strasznej babie wychylającej się z budy Jurka i jego matkę. Stara chyżo jak kot wysunęła się z wozu i pobiegła we wskazanym kierunku.

Była nawpół naga, lachmany tylko pokrywały jej ramiona i boki, i strzępy jakieś niby koszuli spadały jej na piersi i nogi. Na głowie miała związaną chustkę, z pod której wysuwały się kosmyki włosów czarnych, twardych jak szczecina. W żółtej bezzębnej twarzy świeciły jak dwa węgle, czarne błyszczące oczy. Czarownica podeszła do pani Żurawskiej i do Jurka i obejrzała oboje, potem chichocząc zcicha wróciła do wozów.

Opowiadała coś w dziwnej mowie, wskazując wciąż w tamtą stronę, aż wkońcu poszło z nią kilku mężczyzn.

Starszy z nich widocznie, ten co prowadził pierwszy wóz, przyłożył rękę do czoła pani Żurawskiej, położył ją potem na sercu i strzepnął



...Czarownica podeszła do pani Żurawskiej...

na znak, że już po niej. Naradzono się chwilkę, poczem znowu tamten pochylił się nad Jurkiem.

Obejrzał mu ręce, nogi, wkońcu zawinął go w pled i poniósł śpiącego do wozu. Stara czarownica wsunęła rękę za suknię pani Żurawskiej i aż syknęła z radości, znalazłszy złoty zegarek i portmonetkę z pieniędzmi.

Za chwilę zaturkotały znowu wozy, na jednym z nich leżał uśpiony Jurek, a tam pod drzewami pozostała jego matka.

Pewno chcielibyście wiedzieć, kto jest ten chłopak porwany od matki i dlaczego oni oboje tacy opuszczeni. Jurek Żurawski doniedawna jeszcze był bardzo szczęśliwym dzieckiem: ojciec jego, inżynier w jednej z warszawskich fabryk, był człowiekiem zamożnym i Jerzykowi brakowało chyba gwiazdki z nieba.

W roku 1914 wyjechał z mamą na wieś do krewnych, mieszkających w Kaliskiem; pan Żurawski miał zamiar spędzić z żoną i synem jeden miesiąc na letnisku, lecz sprawy fabryki zmusiły go przedtem pojechać do Wiednia, wyjeżdżał wesół, nie przypuszczając, że żegna ukochaną żonę i syna na długi, długi czas.

Zaledwie bowiem stanął w Wiedniu, wybuchła straszna wojna. Do wojska austriackiego powołano wszystkich byłych wojskowych, i pan Żurawski, jako oficer austriacki, stanąć musiał w szeregu. Listownie tylko pożegnał żonę i syna, polecając ich opiece szwagra, brata żony. Ale i tej opieki zabrakło niedługo. Pan Skórski, człowiek starszy, wolny od wojska, był Wielkopolaninem, więc jako poddanego pruskiego wywieziono go do Tomśka, żona pojechała z nim. W majątku gospodarzyli obcy. Pani Żurawska zabrała Je-

rzyka i wyjechała do Kalisza, gdzie zamieszkała w prywatnem mieszkaniu. Zaledwo jednak tam osiadła, gdy zmogła ją ciężka choroba, i przyszły straszne chwile. Wyście Rosjan, wejście Niemców, bombardowanie miasta, przerażenie mieszkańców i ogólna ucieczka. Chorą, zgorączkowaną panią Żurawską podniosła z łóżka energia pocziwej Maciejowej, siły jednak rychło ją opuściły, a co dalej zaszło, to już wiecie. Została bezwładna i nieprzytomna pod drzewami, a Jerzyka uwięźli nieznajomi ludzie.

Byli to Cyganie, którzy wraz z innymi zmykali przed wojną. — Dlaczego zabrali Jerzyka, może narazie nie umieliby sami odpowiedzieć, ciągnęli za uciekającymi i brali wszystko co się dało wziąć, więc i chłopca zabrali. Prowadzący wozy Cygan nie pojechał śladem poprzednich uchodźców, t. j. gościńcem, lecz skręcił w bok i wozy potoczyły się boczną, pełną wyboi drogą.

Jerzyk otworzył oczy i ze zdumieniem spojrział na otaczających go ludzi. Nie widział nigdy nic podobnego. Kilka starych okropnych kobiet siedziało koło niego. Obdarte, w płachtach na plecach, w jaskrawych chustkach na nieuczyszanych szczeciniastych włosach, z błyszczącymi oczyma i wystającymi ze zeschniętych warg zębami, wyglądały jak czarownice z bajki. Oprócz tych kobiet było w budzie kilkoro prawie nagich dzieci o czarnych kędzierzawych włosach, dwie czy trzy kury ze skrepowanymi nogami i kudłaty mały piesek. Całe to towarzystwo zobaczył Jurek i z przestachem podniósł głowę, szukając matki. Nie było jej.

— Mamo, mamo! — zawołał chłopczyk.

Stara Cyganka, ta sama, która odnalazła go pod drzewem, pochyliła się nad nim.

— Cichaj, cichaj, nie płacz, pojedziemy do mamy.

Ale Jerzyk już się podniósł i zaczął głośno wołać matki.

Cyganka powtarzała mu wciąż, iż jada do matki i uspokajała jak mogła, ale bez skutku.

Chłopaka coraz większy ogarniał strach, próbował podnieść płótno okrywające budę i na głos wołał.

Inne Cyganki hałasowały również, cyganięta nie zwracając uwagi na nikogo porwały się za kędzierzawe czupryny i wodziły się ze sobą. Psiak warczał i wyszczerzał zęby, przestraszone kury gdakały.

Powozący Cygan, zaklął głośno; odezwanie się jego poskutkowało, baby uciszyły się, a cyganięta już bez krzyku darły się za włosy. Jeden Jerzyk nie stropił się.

— Ja chcę do mamy, proszę mnie puścić do mojej mamy — wołał.

Znowu Cygan zaklął, a starej czarownicy błysnęły oczy złością.

Klnąc po cygańsku, chwyciła jedną ręką Jerzyka, a drugą zamierzyła się, jakby chcąc go uderzyć.

W tejże chwili, ktoś, kogo Jerzyk jeszcze nie dojrzał, złapał ją za ramię.

— Ani mi się waż — zawołał głos młody — tknąć tego dziecka.

Stara puściła chłopca i bełkotała coś po swojemu, a Jerzyk obejrzał się i poza sobą w głębi

wozu, zobaczył siedzącą na osobnem siedzeniu młodą dziewczynę.

Ubrana była bogato i ładnie, miała na sobie spódnicę czerwoną wełnianą, aksamitny szafirowy gorset, naszywany cekinami, szarą koszulkę, mnóstwo koralu i świecideł na szyi, a na głowie pon-sową jedwabną chusteczkę, zawiązaną w kształcie zawoju.

— Ani mi się waż — powtórzyła, patrząc surowo na starą, młoda Cyganka, — bić tego chłopca. On mój!

I mówiąc to położyła rękę na miękkich, jasnych włosach Jerzyka.

— Będę twoją mamą, maleńki — mówiła pieszczotliwie — dobrze, synku?

Ale mimo, że była ładna i miła, mimo że nie pozwoliła czarownicy tknąć go, chłopak zgodzić się nie chciał na to, by to była jego mama.

Wybuchnął znowu gwałtownym płaczem.

Cyganka posadziła go przy sobie, przytuliła i starała się uspokoić, im bardziej go jednak ob-sypywała pieszczotami, tem chłopca ogarniała większa żalność i strach.

Nie rozumiał gdzie jest, co się stało, to tylko wiedział, że stała się rzecz straszna, że rozdzielono go z matką. Płakał, wołając głośno, by go oddano matce.

— Cicho, maleńki, nie płacz — mówiła całując go młoda dziewczyna — ja będę twoją mamusią, zobaczysz, jak bardzo będę cię pieścić i kochać, dam ci dużo, dużo cukierków, jabłuszek, pojedziemy do wielkiego miasta, kupię ci tam śliczną zabawkę.

— Nie chcę cukierków ani zabawek — płakał Jerzyk — odwieź mię tylko do mamy.

— A kiedy mama twoja ciebie oddała — mówiła Cyganka — a sama pojechała w inną stronę.

— To nieprawda — zawołał chłopak — mamaby mnie nikomu nie oddała.

— A jednak oddała i prosiła, żeby synek był grzeczny i nie płakał po niej, bo ona musiała odjechać. Teraz będziesz moim synkiem i ja twoja mama.

Jerzyk wybuchnął jeszcze większym płaczem, a Cyganka przerażona spojrzała pytająco na starsze kobiety.

— Jak go uspokoić, powiedzcie Aga — spytała w niezrozumiałej dla Jerzyka mowie.

— Uspokoi się sam — odrzekła Aga — dziecko, nic dziwnego, że płacze.

Stara czarownica błysnęła złemi oczyma.

— Uspokoilibym go wnet — syknęła. — Ale cóż, albo Katra ma tu jakie prawa! Takiemu smykowi dać raz dobrze prętem, to się cichutki robi jak baranek.

— O! na to nie pozwolę — zawołała opiekunka Jerzyka — ja tego chłopca biorę pod swoją opiekę i kto go tknie palcem, ten ze mną będzie miał sprawę.

Czarownica spojrzała ze złością na młodą dziewczynę i na zanoszącego się od płaczu chłopca.

— A to zróbże co — rzekła — by ten bęben tak się nie darł, bo jeszcze nam jakie лихо na kark sprowadzi. Zobaczymy, czy go obronisz od kozaków.

W tejże chwili powożący Cygan wsunął głowę do budy.

— Cicho mi tam zaraz! — zawołał — niech nikt głosu nie podnosi, bo batem wyćwiczę. I ty mały, cicho mi zaraz, żebym twego krzyku nie słyszał! — dodał po polsku zwracając się do Jerzyka.

— Dobrze, dobrze — zawołała młoda Cyganka, zakrywając sobą chłopca — on już cichutko będzie jechał; nie krzycz tak ojczulku, już my się nie odezwiemy.

I znowu wzięła w objęcia Jerzyka i tuliła go do siebie, prosząc, by nie krzyczał i nie płakał. Strasznie ciężki dzień przeżył biedny Jerzyk, nie krzyczał wprawdzie wciąż, ale płakać nie przestał, nie tknął wcale jadła, chociaż Cyganka dawała mu i kurczę pieczone i suszone owoce i białą bułeczkę. Chłopak odpychał wszystko — wołając wciąż matki i zaledwo przełknął parę kropel wody.

W nocy stracił przytomność. Z szeroko otwartymi oczyma, z wypiekami na drobnej twarzyczce leżał bezwładny na kolanach Cyganki, szepcząc wciąż jedno:

— Do mamy, do mamy!

— Ratuj go, Katro — prosiła Cyganka starą czarownicę. — Rób co chcesz, byleś go uratowała.

— Przedewszystkiem ciebie trzeba ratować — syknęła Katra — bo ten jasnowłosy chłopak czar jakiś rzucił na ciebie. Skąd ci to przyszło, Azro?

Zagadnięta wzruszyła ramionami.

— Albo ja wiem — szepnęła — albo ja ci to wypowiedzieć mogę? — Ot, żal mi poprostu tego dziecka, pokochałam je od chwili, jakieś je tu

do wozu przyniosła, i teraz chcę, by żyło i mnie kochało.

Katra zachichotała.

— Ty zawsze tylko chcesz — rzekła — i Katrę wtedy prosisz, gdy ci jest potrzebna, a potem kopiesz ją nogą jak psa, jak niepotrzebna szmatę.

— Słuchaj, Katro, dobrą będę dla ciebie — prosiła Azra — nigdy ci złego słowa nie powiem, dam ci zawsze to, co lubisz do zjedzenia, nigdy się nie poskarżę na ciebie Ratajowi, ale ty zrób, by on żył — prosiła dziewczyna.

Zaczęła więc czarownica swoje gusła i leki, naprzód ucięła trochę włosów Jerzykowi, spaliła je, a zabrawszy spopielone, rozrzuciła na cztery strony świata, wołając: „Szczeżnij, przepadnij, choro, na zawsze“.

Potem postawiła kubek z wodą na ziemi i położywszy na kubku ręce, wymawiała po trzykroć jakieś niezrozumiałe wyrazy: „Horum, porum, krum. Połataj tebedej uf!“ Następnie wzięła chustkę i wywijając nią ponad leżącym dzieckiem, zdawała się kogoś odganiać. Wkońcu wysmarowała całe ciało Jerzyka jakimiś maściami i okadzała go naparem z ziół zbieranych przy księżycu.

— Będzie żył — rzekła następnie do Azry — ale choroba nierychło go opuści.

Jakoż po paru tygodniach zaledwo Jerzyk po raz pierwszy otworzył oczy i przytomnie spojrzał. Leżał na wygodnem posłaniu pod namiotem. Zdała dochodziła go jakaś muzyka, a obok siedziała mała jasnowłosa dziewczynka, niewiele od niego starsza.

— Wody! — szepnął.

Dziewczynka skwapliwie podała mu kubek. Pił i patrzył na nią z ciekawością.

— Ktoś ty? — zapytał, słabym głosem.

— Zośka — odrzekła z uśmiechem — a ty?

— Nie wiem — szepnął — zapomniałem — i w tejże chwili ogarnęła go straszna senność, głowa upadła na poduszkę — usnął.

Spał długo, a gdy się obudził, był o wiele silniejszy. Patrzył na Zośkę i uśmiechał się do niej, i ona śmiechała się do niego.

— No widzisz — mówiła stara czarownica do Azry — żyje i już za kilka dni chodzić będzie, stara Katra nie oszukała cię.

— Nie zapomnę ci tego nigdy — odrzekła młoda Cyganka — przysięgam.

Długo Jerzyk nie mógł zrozumieć, gdzie jest, kto są ci ludzie, którzy się wciąż koło niego kręcą.

Azra była dla niego dobra jak najczulsza matka, sama karmiła i sama mu posługiwała, ale chłopczyk wołał dziewczynkę w różowym kaftaniku i kraciastej spódniczce, uśmiechał się do niej i od niej najchętniej brał jedzenie i wodę.

Dotąd nikt w obozie cygańskim nie znał jego imienia. Azra zwała go synkiem, Katra bębnem, a stary Rataj, ojciec Azry, chłopcem.

Zośce to nie wystarczało.

— Jak się ty nazywasz? — zapytała, gdy na chwilę zostali sami.

Chłopak milczał, był jeszcze tak słaby, że sobie nic narazie przypomnieć nie mógł.

— Ty pewno jesteś Wojtek, albo Marcinek? — mówiła dziewczynka — prawda?

Pokręcił głową na znak, że nie.

— To może Szymek? No i to nie? to powiedzże, jak cię matusia zwali.

Jakby oprzytomniał, podniósł się, usiadł na posłaniu — i zawołał:

— Mamusiu,, mamusiu, Jerzyk chce do mamy.

— O, to ty jesteś Jerzyk — zawołała dziewczynka — już wiem. A matusia poszła do lasu, niedługo wróci.

W parę dni potem chłopak był zdrow, a Cyganie, którzy tydzień spędzili w lesie, zabierali się w dalszą drogę.

W przededniu odjazdu urządzono zabawę. Stara Katra, Agar i inne Cyganichy gotowały w kotłach jakieś jadlo, piekły kury i kaczki, które z pobliskiej wsi przyniosły, a gdy zmrok zapadł, rozpalono ognisko, rozpoczęła się uczta. Jedli starzy Cyganie, którym przodował Rataj, ojciec Azry, jadły Cyganichy, ale najlepsze kąski podawano Azrze, którą starzy i młodzi uważali za swą władczynię. Cała banda cygańska słuchała Rataja, jako swego przywódcę, a że Rataj nad życie kochał Azrę i że za najmniejszą przykrość, zrobioną córce mściłby się strasznie, więc słuchano słowa Azry jak największego nakazu. — Młoda Cyganka ładna była i dobra, i gdy nieraz ojciec wpadł w gniew i chciał kogo z towarzyszy obić, co się dość często zdarzało, prośby i przedstawienia Azry niejednokrotnie uchroniły winnych od kary. Rataj bowiem żelazną ręką trzymał swych towarzyszy i towarzyszek, i w gniewie bywał straszny. Otóż przy uczcie najsmaczniejsze kąski podawane były Azrze, która z kolei dawała je Jerzykowi i Zośce.



Jerzyk i Zośka pod drzewem przyglądali się tańcom.

Po uczcie dwaj Cyganie dobyli skrzypce, trzeci bębna i zaczęli grać, a reszta towarzystwa rozbawiła się na dobre.

I starsi i mali tańczyli dokoła ogniska. Cyganięta napóły nagie skakały przez palące się ognisko. Katra, Agar i inne stare Cyganki,

wszystkie podobne do czarownic, wzięły się za ręce i utworzyły jakiś korowód z krzykiem, piskiem, podnosząc bosc nogi do góry, skakały jak która mogła najwyżej. Rataj i Azra siedzieli tylko przy ogniu, przyglądając się zabawie. Trochę opodał od nich Jerzyk i Zośka pod drzewem również przypatrywali się tańcom. Jerzykowi, któremu choroba osłabiła pamięć, coś się majaczyło. Jakieś niewyraźne wspomnienia przechodziły do głowy.

— To pewno Indjanie — rzekł wkońcu, pokazując Zośce tańczących.

Ale ona spojrzała na niego zdumiona, nie słyszała nigdy tego wyrazu „Indjanie“.

— To „Cygany“ — rzekła krótko.

Teraz z kolei Jerzy patrzył na nią zdziwiony.

— Cyganie — szepnął — jakto Cyganie?

— A tak — rzekła dziewczynka — ty tego nie wiesz, ciebie Cygany zabrały na drodze.

— Skąd ty wiesz — Zośka? — pytał Jerzyk i coraz lepiej przypominał sobie różne rzeczy. A Zośka przysunęła się do niego i szeptem opowiadała mu to, co wiedziała sama od dzieci cygańskich. Słuchając Jerzyk płakał cichutko, tak cichutko, że nikt płaczu jego nie słyszał.

— Tak — mówiła Zośka — mamusia twoja umarła, tak jak i moja babcia. Wioskę naszą spalili kozacy. Oj było, ich było, a takie straszne! Wszyscy ludzie puciekali, tylko babcia leżeli chorzy i uciekać nie mogli. W lesie leżeli i tam umarli. Ja przy nich siedziałam i bałam się bardzo, ale gdzież pójde, a głodna byłam, bo u nas

nic nie było jeść. Aż przyszli Cyganie i mnie powiedzieli, żebym z nimi jechała.

— I ty pojechałaś? — pytał Jerzyk.

— A ino, bo w lesie nie mogłam siedzieć — odrzekła dziewczynka — a ty wtedy byłeś chory i Azra ciebie pilnowała. Ona bardzo dobra, ja myślałam, że to twoja mama, bo ona tak ciebie kocha, ona i mnie kazała ciebie pilnować. A cyganięta to mnie już wszystko opowiedziały, a ty nie mów nikomu, że ja tobie opowiadałam, bo Azra będzie się gniewała, a Rataj jeszcze wybiję, bo on wszystkich bije i ja jego bardzo się boję — kończyła Zośka swe opowiadanie. — Nazajutrz po tej nocnej zabawie, już o świcie Cyganie zapakowali swe manatki, złożyli je na wozy i ruszyli w dalszą drogę.

Jerzyk jechał na jednej furze z Azrą i Zośką, cyganięta wsadzono do drugiej budy, pod opiekę starej Katry. — Niebardzo im widać było dobrze z tą opiekunką, gdyż od czasu do czasu do uszu jadących przodem dołatywały przeraźliwe piski.

Jerzyk i Zośka siedzieli milczący. Zośka wogóle odzywała się rzadko w obecności Cyganów. Jerzyk po wczorajszej rozmowie i po tem, czego się dowiedział od Zośki, zaciął się i nie odzywał się do nikogo.

— Co mój synuś taki milczący? — odezwała się Azra, przesuwając rękę po jasnych włosach chłopca. Jerzyk odsunął się od niej i szepnął:

— Mamusia moja umarła — i z oczu jego popłynęły łzy.

— Ja będę twoją mamusią, dobrze? Będiesz mnie kochać synku — mówiła Cyganka tuląc dziecko.

— Nie, ja nie będę pani synkiem — rzekł Jerzyk — mamusia moja umarła i ja drugiej nie chcę.

— Powiedz, Jerzyku — mówiła Azra — czy ci źle ze mną? czy ja nie jestem dla ciebie dobra. I mamusia nie byłaby chyba lepszą, kocham cię bardzo.

— Pani bardzo dobra — rzekł chłopczyk — ale pani nie jest moją mamusią, a kiedy mnie pani kocha, to niech mnie pani odda tatusiowi.

— Dobrze — zawołała Cyganka — jak się dowiemy, gdzie jest twój tatuś, to cię tam odwieziemy, tymczasem trzeba być z Azrą i lubić ją trochę, bo widzisz, jakżebyś się tak sam pozostał, nie znasz nikogo, nie wiedziałbyś dokąd iść.

— Któżby ci dał jeść? — odezwiała się Zośka.

— A widzisz, jak to Zośka rozumnie powiedziała — rzekła Azra.

Jerzyk nie zwracał jednak na to uwagi. W głowie jego zbudziła się świadomość o ojcu, myślał wciąż tylko o tem, czy go tatusiowi oddadzą.

— Mój tatuś jest oficerem i poszedł na wojnę — mówił Jerzyk — to niech mnie pani do wojska odeśle.

Azra tłumaczyła mu, że do wojska dzieci nie wezmą, ale jak się wojna skończy, to go tatusiowi odwiezie.

— Do Warszawy mnie pani odwiezie, ja tam już trafię do domu — mówił chłopczyk — pójdę na Jasną ulicę, tam w dużej takiej kamienicy nasze nieluzkanie i tatuś tam będzie, prawda?

Azra zapewniła go, że z pewnością tak będzie, chłopak uspokoił się a nawet rozweselił się

i zaraz zaczął opowiadać Zośce, jak to Warszawa wygląda, jakie tam szerokie ulice i wielkie domy.

Był już zupełnie zdrow i z każdym dniem wracała mu pamięć, więc coraz to nowe snuł wspomnienia i nowe opowiadania. Zośka słuchała ciekawie, ona biedaczka знаła tylko swój jeden Majdan, w którym urodziła się, i tylko o zabawach w lesie, na pastwisku mogła mówić. Cyganie jechali wolno, odjechali już daleko od miejsc zajętych przez wojnę i teraz nieśpieszno im było. Jesień była pogodna, ciepła, nieraz więc zatrzymywano się gdzieś w lesie, rozbijano obóz i dzień, dwa przesiedziano.

Stare Cyganki chodziły wtedy po okolicy żebrząc, wróżąc, a nieraz i kradnąc różne rzeczy, to chleb, to drób, to jakaś odzież. Wracały bowiem zazwyczaj z tobołkami do obozu. Cyganięta włóczyły się z matkami. Cyganie chodzili również po wsiach, a w obozie zostawali Rataj, Azra, Zośka i Jerzyk.

Pewnego dnia zatrzymano się w lesie, nieopodal dużej wsi.

Cyganięta w jednej chwili wyskoczyły z wozu i rozbiegły się po lesie i Zośka z Jerzykiem radzi byli, że mogą trochę nogi rozprostować, i pobiegli swobodnie. Zaraz koło obozu czerwieniły się jagody.

— Borówki, borówki — zawołała Zośka z radością — Jerzyku, chodźmy na borówki! — I dalej na czerwieniejące w zachodzącym słońcu wzgórze.

Przybiegły zaraz tamże i cyganięta i wszyscy razem zwijali się przy jagodach. Zośka szepnęła Jerzykowi, że należałoby nazbierać jagód dla Azry.

— Pewno je lubi, a ona dla nas taka dobra, zawsze jak ma co dobrego, to nam daje. Jerzyk zgodził się chętnie i oboje pilnie zbierali jagody do fartuszka Zośki.

— Uf, jak ja się tych jagód najadłem, — rzekł Mitro, dziesięcioletni cyganek — aż mi zęby ścierpły i język boli. Wiecie, dość już tego, chodźmy lepiej dalej w las, może co lepszego znajdziemy.

Zgodzono się jednogłośnie i zapuszczono się dalej w głąb lasu, nic jednak lepszego od borówek nie było.

Pomimo to Mitro obstawał, by iść dalej, a nikomu nie było pilno do powrotu.

— Aha! widzicie, mówiłem, że coś lepszego znajdziemy — zawołał mały cyganek, który się o parę kroków naprzód od reszty dzieci wysunął. — Chodźcie prędko.

Zbiegły się dzieci na skraju lasu i zobaczywszy przed sobą śliczną jabłoń, pokrytą ponsonem jabłkami. Parkanu i ogrodzenia nie było żadnego, tylko rów głęboki oddzielał las od sadu, za którym znowu widniały mieszkania ludzkie.

— Ach, co za śliczne jabłka! — wołały dzieci.

— Widzicie, to ja wszystko odkryłem — mówił Mitro — ja was tu doprowadziłem i będę teraz waszym naczelnikiem. Dobrze?

— Dobrze, dobrze! — wołały cyganięta.

— Doskonale — mówił dalej Mitro — jabłka są śliczne i smaczne, trzeba je tylko dostać.

— O, wielka rzecz! — zawołał drugi cyganek — przejść przez rów nietrudno, a zerwać jabłka jeszcze łatwiej. Raz, dwa to się robi.

— Tak, ale wszyscy iść nie mogą. Jeden pójdzie, a reszta będzie pilnować, czy skąd stróż nie idzie — rzekł Mitro i wskazując palcem na Jerzyka rzekł: — Ty pójdziesz, a spraw się dobrze i dużo jabłek przynieś.

Jerzyk spokojnie spojrzał na mówiącego i cofając się od rowu rzekł:

— Ja tam nie pójde, to są cudze jabłka i ja ich rwać nie będę.

— Jakto — zawołał Mitro — nie pójdziesz, kiedy ja ci każę. Idź mi zaraz! — i mówiąc to skoczył ku Jerzykowi.

— Nie pójde do cudzego ogrodu — powtórzył chłopak — nie jestem złodziejem.

— A ty głupi myślisz — wołał Mitro — że ja jestem złodziejem. Biorę, bo mi wolno. Cygan wolny jak ptak, wszędzie jest, kedy mu się podoba, i wszystko jego. I woda i las i łąki i wszystko co na ziemi jest, Cygan brać może. No idźże już raz, niedołęgo.

Jerzyk zawrócił do obozu.

Cyganięta krzyczeć zaczęły.

— Coś ty za jeden, że Mitry słuchać nie chcesz, ty jasny paniczu, grafie jaśnie wielmożny!

— Jak nie chcesz iść z dobrej woli, to ja cię zmuszę — wołał Mitro i silnem uderzeniem pięści w kark, rzucił Jerzyka na brzeg rowu. Cyganięta zawyły z radości i wszystkie razem rzuciły się na leżącego na ziemi chłopca.

— O la Boga! ratunku, pomocy! — zawołała Zośka, chwytając wpół najbliższe stojące koło siebie Cyganię. — Jerzyka zabijają! Jerzyka!

— Rzućcie go do rowu — wołał tymczasem Mitro i razem z towarzyszami zepchnął biednego chłopaka do rowu.

W tej chwili rozległ się w lesie przeraźliwy gwizd, to Rataj zwoływał swą gromadę. Cyganięta w jednej chwili rzuciły się w las i pobiegły w stronę obozu. Nad rowem płakała Zośka, a w dole zbity, w poszarpanem ubraniu leżał Jerzyk.

— O Boże, o Boże, oni go pewno zabili — płakała Zośka — Jerzyku, Jerzyku! odezwij się, czy ty aby żyjesz?

Słońce już zaszło i wieczorny mrok otulał ziemię, coraz ciemniej było i Zośkę coraz większy strach ogarniał. Co oni poczną sami?

— Zośka — zawołał Jerzyk z dołu — czy oni poszli?

Ucieszyła się dziewczynka i zapewniła, że nikogo niema.

— No to ja stąd wyjdę — rzekł chłopak i powoli zaczął się wdzierać do góry. Rów był wprawdzie głęboki, ale szczęściem suchy zupełnie. Nie było też w nim żadnych kamieni ani roślin, spadł chłopak na piasek, a choć go nabrał do oczu, ust i nosa, nic mu się złego nie stało. Zośka pomogła mu wydobyć się z rowu, potem otrzepała go z piasku, otarła mu oczy i twarz swoją chuścina i wtedy dopiero spostrzegła, że nie ma fartuszka z borówkami, zabranemi dla Azry. Pamiętała, że położyła go pod drzewem biegnąc na ratunek Jerzykowi. Obszukali ze wszystkich stron, ale nigdzie i śladu.

— Pewno go Mitro zabrał — zawołała dziewczynka. — Widzisz, Jerzyku, jaki on niedobry.

— Zośka — szepnął Jerzyk — uciekajmy od tych Cyganów, źli są, ja ich się boję! Uciekajmy od nich.

— Ale gdzie? do kogo pójdziemy, Jerzyku? — zapytała.

— Ja nie wiem — odrzekł Jerzyk — ale uciekajmy.

Porwał Zośkę za rękę, pociągnął ją, i poczęli biec wzdłuż rowu.

Jak długo tak biegli sami nie wiedzieli, do lasu bali się wejść, tam było coraz ciemniej i tam byli cyganie, trzymali się więc wciąż brzegu rowu. Naraz zobaczyli przed sobą jakąś wysoką czarną postać.

— Strach idzie, strach! — zakrzyczała Zośka, ściskając Jerzyka za rękę, przypadli oboje do ziemi a tu strach złapał ich za ręce.

— Gdzieście byli i czemu na dany znak nie wróciliście do obozu? — pytał ich gniewnie Rataj.

Byli tak zastraszeni, że głosu wydobyć nie mogli. Rataj bić ich będzie pewno. A Cygan prowadził ich do ogniska. Azra wybiegła na spotkanie.

— Są — zawołała — ach co za szczęście!

— Masz ich, zabierz te szczeniaki — mówił stary, popychając dzieci ku córce — a wy pamiętajcie, jeśli mi jeszcze raz wyjdziecie z obozu i na dany znak nie wrócicie, to do krwi smażyć będę. Żeby żadne z was nie śmiało dziś podejść do jadła. Marsz spać.

Azra podeszła do ojca chcąc go pieszczotą uspokoić, ale stary tak był zły, że i ją odsunął z gniewem.

Przy ognisku Mitro z towarzyszami ogryzali koście, zobaczywszy Jerzyka i Zośkę zagrali sobie na nosie wywieszając przytem czerwone języki.

Długo w noc usnąć Jerzyk nie mógł. Leżał w budzie na wozie, obok Zośki.

Wszyscy dokoła spali, chłopczyk podniósł się i popatrzał na ciemny las, na ognisko palące się, przy którym spali Cyganie. Noc była jasna, księżycowa, złote gwiazdki mrugały z góry do niego. Naraz przypomniała się Jerzykowi mama, wydało mu się, że oto ona stoi przy nim i szeptem cichutko.

— Zmów paciorek synku. Podniósł się, ukląkł na wozie i cichutko zmówił pacierz, ten sam, którego ona go uczyła, a którego tak dawno już nie mówił.

— Boziu dobry — prosił wkońcu — wróć mi moją mamusię i tatusia, wróć mi ich, Boziu, niech ja nie będę z tymi strasznymi Cyganami. Przeżegnał się i już spokojniejszy położył się na wozie.

— Nie śpisz? — zapytała Zośka.

— Nie — odrzekł cichutko — ale Zośka, nie mówmy nikomu, że Mitro kazał mi jabłka kraść i że mnie bił.

— Dobrze, Jerzyku — odrzekła dziewczynka. I po chwili zasnęli oboje.

III. W drodze do Żytomierza.

— Ty umiesz czytać, Jerzyku? — zapytała Zośka, widząc, któregoś dnia, że chłopczyk trzyma w ręku kawał zadrukowanego papieru.

— Umiem — odrzekł Jerzyk — mamusia mnie uczyła, a tu taka śmieszna bajeczka. Posłuchaj ja ci przeczytam.

I głośno, wyraźnie czytał bajeczkę o kotku, co to się objadł różnych łakotek i ciężko chorował, a pan doktor dawał mu niesmaczne lekarstwo. Bajeczka tak ich oboje rozśmieszyła, że nie zauważyli, iż Azra stanęła koło nich.

— Ach — rzekła Zośka — jakbym ja chciała umieć czytać.

— Nie umiesz? — zapytał Jerzyk — to ja ciebie nauczę. Trzeba tylko nauczyć się literek. Tylko widzisz, nie mam na czem cię uczyć.

— A na tej karteczce? zapytała Zosia.

— E, to nie można, to bajeczka, a to trzeba, żeby każda literka była osobno.

— A po co Zośce ta nauka potrzebna? — zapytała Azra.

Spojrzeli zdziwieni, nie wiedzieli, że ona stoi przy nich.

— Co jej z tego przyjdzie, że będzie umieć czytać — mówiła Cyganka. — Niech się lepiej uczy tańczyć i śpiewać. Żyćcie wśród Cyganów, to wam ta nauka na nic nie potrzebna. My Cyganie, wolni jak ptaki, co to sobie latają wszędzie gdzie się im podoba, nauka na nic nam nie potrzebna. Zobaczycie to potem sami. Niedługo i wy będziecie się uczyli ale innych rzeczy, potrzebniejszych wam, niż czytanie.

— Moja mamusia mnie sama uczyła czytać i pisać — rzekł Jerzyk — i zawsze mówiła, że bardzo biedne są te dzieci, które czytać nie umieją i jabym chciał Zośkę nauczyć czytać ale nie mam elementarza — dodał smutno.

— No, jak tak bardzo chcesz uczyć Zośkę czytać — rzekła Cyganka — to Azra ci kupi elementarz jak będziemy w Żytomierzu, ale pamiętaj, że się będziesz sam uczył wielu innych rzeczy.

Jerzyk skoczył z radości i po raz pierwszy zarzucił ręce na szyję Azry, ściskając ją serdecznie.

— Słyszysz, Zośka — wołał — dostaniemy elementarz i będę cię uczył, ale pamiętaj, że musisz mnie słuchać i uczyć się pilnie. Zośka zapewniła, że będzie bardzo pilną, bo okrutnie pragnie uczyć się czytać.

— A czego ja się będę uczył? — zapytał Jerzyk, zwracając się do Azry. — Może pójdę do szkoły w Żytomierzu?

— Tak — rzekła Azra — będzie to twoja szkoła Jerzyku, a ja ciebie proszę, byś był greczny i pilny, nauka nie będzie bardzo trudna a przytem bardzo wiele ciekawych rzeczy zobaczysz i dowiesz się.

— A to my już nie będziemy jeździć i zostaniemy w Żytomierzu? — zapytał znowu Jerzyk.

— Tak — odrzekła Azra — w Żytomierzu, rozstaniemy się z Ratajem, Katrą i Agarą. Oni pojedą w inną stronę, a my: to jest ja, Mitro i was dwoje, ty i Zośka zostaniemy w Żytomierzu.

Jerzyk i Zośka oczekiwali odtąd z utęsknieniem owego Żytomierza, który miał im przynieść tyle uciechy. Rataja i reszty Cyganów nie żalowali wcale, bo z całej bandy, tylko jedna Azra była dla nich prawdziwie dobrą, ona jedna troszczyła się i opiekowała niemi i gdyby nie ona, to z pewnością o wiele by im gorzej było, zadowoleni więc byli, że z nią zostaną.

Martwiła ich tylko myśl, że i zły Mitro zostanie z nimi.

— Teraz będzie jeszcze gorzej, wdychała Zośka, bo jak nie będzie cyganiat, to się do nas przyczepi.

Ale Jerzyk uspokajał dziewczynkę, że w Żytomierzu, to chyba będzie inaczej i Mitro nie będzie mógł im dokuczać. On chyba do szkoły nie pójdzie.

— Patrzcie dzieci — zawołała Azra — ot już widać Żytomierz.

Jerzyk i Zośka wysunęli z pośpiechem główki z budy i zaraz oboje krzyknęli z zachwytem.

Na wzgórzu bowiem ponad wijącą się wśród wysokich brzegów rzeką Teterowem, zobaczyli wysokie wieże kościelne, a niżej murowane domy.

— Jak tu ślicznie — wołali oboje, a zachwyt ich zwiększała myśl, że наконец skończy się ta ciągła jazda, że tak jak dawniej, będą gdzieś mieszkać i zobaczą innych ludzi, nie samych Cyganów.

Dotąd zatrzymywano się tylko gdzieś w lesie lub w polu i nigdy żadne z nich nie mogło pójść do jakiej wsi, tu mieli być, przynajmniej tak się im zdawało, w mieście. Zośka jeszcze nigdy w żadnym mieście nie była, ale Jerzyk już jej tyle naopowiadał o Warszawie i Kaliszu, że ciekawą była okrutnie tego Żytomierza.

Jednak już na wstępie spotkał dzieci ciężki zawód, zamiast bowiem do miasta, jak to sobie obiecywały; cygańskie wozy zajechały naprzód do jakiejś przydrożnej budy.

Tam zatrzymano się, wszyscy zostali na wozach, Rataj tylko i Azra poszli do środka i długo.

bardzo długo tam byli, a gdy nakoniec wyszli, Rataj kazał Zośce, Jerzykowi i Mitrze zejść z wozu, a Azra zaraz zaprowadziła ich do środka.

Brudno, ciemno i duszno było w izbie, do której weszły dzieci, ogarnął je też strach i lęk nieznamy im dotąd, nawet Mitro, zawsze psotny i dokuczliwy, nie odzywał się wcale i nie targał Zośki za warkoczyk.

W izbie było kilku ludzi czarnych, brodatych, ubranych w płaszcze i czapki nasunięte na czoło.

Najstarszy z tych obcych, zbliżył się do Azry prowadzącej dzieci i ujął za ramię Jerzyka, który przerażony, przycisnął się do cyganki.

— Nie bój się dziecko — rzekła Azra — nikt ci nic złego nie zrobi, ten pan nauczy cię wielu rzeczy.

Przyszły nauczyciel wziął chłopca za oba ramiona, uniósł go jak piórko i postawił na dużym stole. Podniósł mu główkę do góry, zajął w oczy, zęby, obejrzał na wszystkie strony, potem nic nie mówiąc położył na stole, wyciągnął miarę z kieszeni i mierzył mu ramiona, nogi i ręce. Jerzyk drżał cały ale bał się odezwać. Zośka za to nie wytrzymała i głośno płakać zaczęła.

Ofuknął ją Rataj, który wraz z innymi wszedł do izby i biedactwo uczepiwszy się sukni Azry pochlipywało zcicha. A nieznajomy tymczasem wywijał nogami i rękami Jerzyka. Wkońcu zapytał go łamanym językiem, czy umie chodzić na głowie.

— On nie umie, ale ja umiem! — zawołał Mitro i w jednej chwili pokazał swą mądrość. Stał na głowie, nogi podniósł do góry i tak obiegł całą izbę, potem fiknął kozła jednego i drugiego i zna-

lazł się na stole, z którego przed chwilą zdjęto Jerzyka.

— Zrób to samo — rzekł, zwracając się ku drżącemu jeszcze chłopakowi nauczyciel.

Ale Jerzy nie usłuchał. Dano mu więc spokój; zkolei zapłakana Zośka poszła na stół i ją tak samo mierzono i oglądano.

Poczem Azra wyprowadziła dzieci do drugiej izby, kazała im tam siedzieć spokojnie, a sama powróciła do tamtych i zamknęła drzwi za sobą.

— Jerzyku — zapytała Zośka — co to za ludzie — i co oni z nami chcą zrobić?

— Nie wiem — szepnął cichutko — ale się boję bardzo.

— A ja się nie boję — odezwał się Mitro — i jeżeli mi obiecacie, dać połowę swego chleba, który dostaniecie na wieczerzę, to wam powiem wszystko.

— Oj dobrze, dobrze — zawołali oboje — damy ci chleb, tylko nam powiedz, co oni z nami robią.

Mitro podniósł nos do góry i rzekł:

— My będziemy w cyrku, bo i Azra jest w cyrku, ona śpiewa i jeździ konno i tylko na lato przyjechała do swego ojca Rataja, a teraz wraca do cyrku i mnie ze sobą bierze i was, bo jak tam ciebie z pod drzewa zabrano, — tłumaczył Cyganiak, zwracając się do Jerzyka — to ona zaraz mówiła, że ciebie ze sobą zabierze.

— A cóż tam będziemy robić w tym cyrku? — zapytała Zośka.

— Będziemy sztuki pokazywać — objaśnił Mitro — a przede wszystkim chodzić na głowie.

PASSON JAN
POZNAN

Chcesz ty Jerzyk, to ciebie nauczę, ale oddasz mi jutro swoje śniadanie.

— Ja nie chcę chodźć na głowie — oburzył się chłopczyk.

— Owa, wielka rzecz, że nie chcesz; niby to ciebie kto będzie pytał, czego ty chcesz, a czego nie chcesz — rzucił Mitro.

Cyganek miał rację nikt się nie pytał, ani Jerzyka, ani Zośki, czego oni chcą, natomiast musieli uczyć się wielu rzeczy.

Z tej brudnej budy, przewieziono ich do trochę czystszej budy, tam zamieszkali, ale Żytomierza nie widzieli, a i Azra nie była tak ciągle z nimi jak dawniej w podróży. Przychodziła wprowadzić parę razy w ciągu dnia do nich, przynosiła Jerzykowi owoce i różne łakocie, pieściła go i upominała, by się uczył pilnie, by robił to, co mu każe nauczyciel, ale nie bawiła nigdy długo z dziećmi, bo mówiła, że musi teraz pracować i nie ma czasu.

Dwa dni jednak upłynęły, a nauczyciel nie rozpoczynał swoich nauk. Dopiero trzeciego przyszedł do dzieci i wyprowadził je na podwórze, obstawione zewszę jakimiś namiotami, a stamtąd przeprowadził ich na wielki plac i tam dopiero kazał im biegać wokół.

Mitro pobiegł natychmiast. Jerzyk i Zośka stanęli niepewni co mają robić.

— No, naprzód — zawołał nauczyciel, i w tej chwili śmignął w powietrzu szpicrutą.

Obok dzieci stanęła w tej chwili Azra.

— Tylko bez bicia, Samie — odezwała się — przypominam naszą umowę.

— Z takimi szczeniakami — mruknął Sam — tylko biciem zrobić coś można.

Jerzyk nie rozumiał słów starego brodacza, rozumiał tylko, że o nich mowa i że on gotów jest bić ich bez litości. Pogarnął się w milczeniu do Azry.

Cyganka położyła mu rękę na głowie.

— No teraz wy oboje z Zośką pokażcie co umiecie — rzekła — proszę was, biegnijcie wokół tak jak Mitro, tylko szybko i na paluszkach.

— Chodź, Jerzyk — zawołała Zośka, i pobiegli oboje.

Brodacz co chwilę robił im uwagi, musieli to zwalniać biegu, to znowu przyśpieszać. Jerzyka pochwalił wkońcu, a na Zośkę wołał, że piętami uderza wtedy, gdy powinna opierać się na palcach. Potem nastąpiły inne ćwiczenia: podnoszenie ciężarów, przeginanie się w prawo i w lewo. Mitro był w tym wszystkim najzręczniejszy. Patrzył też z triumfem na Jerzyka i Zośkę, i gdy tylko zrobili coś niezręcznie, pokazywał im język, lub wygrywał na nosie.

Wkońcu weszli dwaj ludzie i stanęli na dwóch przeciwległych stronach placu, obaj trzymali w ręku końce rozciągniętej sztywno liny. Nauczyciel wziął Zośkę, postawił na linie i trzymając dziewczynkę za rękę, kazał jej iść z jednego końca na drugi.

— Ona zaraz się przewróci, ot już paf i leży — zaśmiał się Mitro.

— Cicho bądź — zawołała surowo Azra.

Zośka tymczasem nadspodziewanie zręcznie, przeszła raz i drugi.

— No, teraz sama — mówił nauczyciel. I to się udało, przy końcu tylko zachwiała się i byłaby spadła, ale brodacz pochwycił ją w powietrzu.

— Brawissimo — mówił, gładząc dziewczynkę po głowie — widzę, że będzie z niej pociecha.

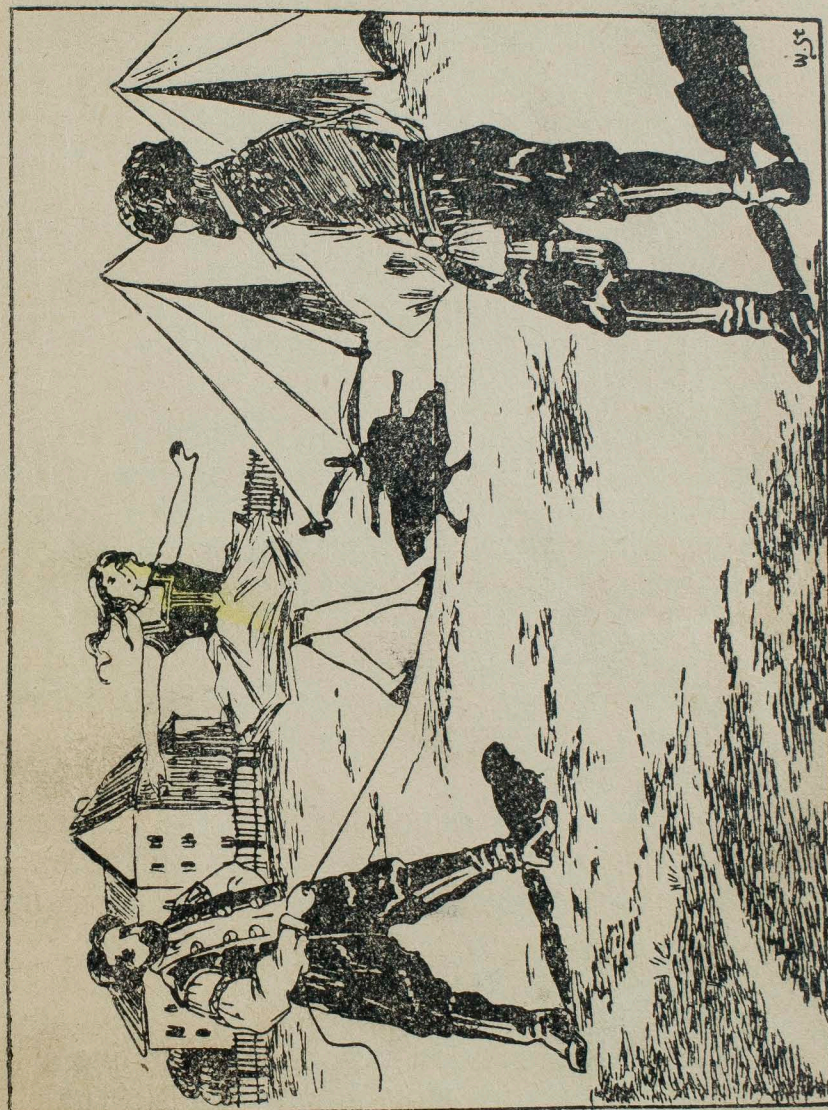
Tak się zaczęły lekcje Jerzyka i Zośki. Codziennie powtarzano ćwiczenia. Zośka biegała po linie, uczyła się skakać przez kółko, Jerzyk jeździł na rowerze, biegał, musiał się drapać po słupie i potem zawieszać na nim nogami, słowem kształcił się na cyrkowego kłowna. Nie zachwycała go ta nauka, o jakżeby był szczęśliwy, gdyby mu pozwolono iść do szkoły, uczyć się pisać, czytać. Ale o tem mowy nawet nie było. Raz powiedział o tem Azrze.

— A tobie poco iść do szkoły — rzekła — co ci ona da? Zobaczysz kiedyś, że Azra miała słuszność i dobrą szkołę wybrała. Ucz się tylko pilnie, rób co ci Sam pokazuje, zobaczysz ile pieniędzy będziesz miał i jak będzie ci wesoło.

Zośka uczyła się chętniej. Dostała śliczną ponsową spódniczkę, niebieski gorsecik, czerwone pantofelki i śmiało wbiegała na linę, chodziła, tańczyła i wykonywała różne ruchy, których ją Sam uczył.

— No dzieci — rzekła pewnego wieczoru Azra, — dzisiaj pójdziecie do cyrku i zobaczycie śliczne przedstawienie, mam nadzieję, że potem i Jerzyk chętniej będzie się uczył.

Jakoż wieczorem ubrano ich oboje w nowe ubranie, Jerzyk dostał ładną aksamitną kurteczkę i także spodnie, a Zośka białą sukienkę i Azra zaprowadziła ich do łoży w cyrku.



...No, teraz sama — mówił nauczyciel. I to się udało...

— Posiedzę trochę z wami — rzekła — a potem pójdę bo i ja występuję, ale wy pamiętajcie, żebyście cicho i spokojnie siedzieli.

W tej chwili zadzwoniono.

Na scenę wybiegło dwóch kłownów i poczęli ustawiać jakieś domy, zupełnie jak prawdziwe domy z cegły, Azra dzieciom wytłumaczyła, że są one tylko z tektury.

— Widzicie — mówiła — to miasto, które stoi przed nami, to miasto chińskie Pekin. Zaraz zobaczycie, jak ci oto żołnierze chińscy będą go bronili przed napaścią wroga. O widzicie, idą Chińczycy.

Jakoż wyszli żołnierze w długich żółtych sukniach z warkoczami na głowie. W ręku mieli karabiny. Starszy z pośród nich, widocznie oficer, wskazywał im stanowisko, oprowadzał ich, wciąż coś pokazując.

— Ach, jacyż oni straszni — zawołała Zośka, — ja się ich boję.

— Bo to małpy — powiedział Jerzyk, który widział małpy żywe i na obrazkach. — Prawda, Azro?

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdy z przeciwnej strony wpadło wojsko nieprzyjacielskie w czerwonych strojach z takimiż kapeluszami na głowach.

Teraz Zośka zawołała:

— Ależ to psy!

Rzeczywiście były to uczone psy. Prowadził to wojsko stary Sam, niby generał wojsk angielskich.

— Żołnierze starej Anglii — wołał czyńcie swą powinność.

Psia armja zawyla przeraźliwie i rzuciła się do szturm. Stuknęły karabiny, z jednej i z drugiej strony padli żołnierze, ale walka nie ustawała. Generał zagrzewał słowem i przykładem. Na dany znak dwaj Anglicy przyciągnęli dużą drabinę, oparli o mur, generał chciał wejść po niej, lecz w tejże chwili dzielny Chińczyk podskoczył i obalił ją. Anglicy ponowili atak i ostatecznie zwycięstwo było przy nich.

Jeden, drugi i trzeci pies wdzierał się na mury miasta. Sztandaru tylko zdobyć nie mogli, powiewał on wciąż nad szczytem Pekinu, siedzący obok Chińczyk zadawał napastnikom ciężkie razy.

— Naprzód żołnierze Anglii, zdobyć mi ten sztandar! — wołał generał. Ogromny owczarski pies, rzucił się na chorążego chińskiego i złapał go za rękę. W tejże chwili małpa skoczyła mu na kark i ugryzła tak boleśnie w ucho iż pies stoczył się z murów miasta. Inni Anglicy skoczyli swemu ku pomocy. A tymczasem mały pudel już był na dachu i trzymał chorągiew chińską w łapie. Miasto było zdobyte.

Jerzyk i Zośka byli zachwyceni i rozbawieni.

Następny numer był: Żołnierze na stanowisku. Na scenie urządzono barykady. Cztery foki miały z poza nich strzelać. Sam podał każdej mały karabin i dał znak. Biedne stworzenia chwilę wzdygały się. Sam podniósł szpicrutę. Drgnęły i wyciągając krótkie łapki pociągnęły za kurki. Padły strzały i najbardziej przerażyły samych żołnierzy. Przypadli biedacy do ziemi drżąc ze strachu.

Jerzyk weschnął.

— Co ci jest? — spytała Azra.

— I foki tak jak ja nie lubią tej nauki — szepnął chłopczyk.

— To są bezrozumne zwierzęta — odrzekła Cyganka. — A Jerzuś powinien być rozsądnym i uczyć się chętnie. No, ale ja już pójdę, a wy zostaniecie tu z jednym z dozorców. Pamiętajcie o tem, iż macie być grzeczni — dodała.

Za chwilę zobaczyli ją jadącą na ślicznym, czarnym koniu. Patrzyli z zachwytem, jak jeździła, to wolno, to znowu galopem, skakała przez przeszkody. Potem stanęła na siodle i kłaniała się wszystkim widzom w cyrku, a ci zachwyceni, oklaskiwali ją.

— Ach i ja tak chcę jeździć jak Azra — zawołała Zośka, tak głośno, że aż Jerzyk przypomniał jej, że mają siedzieć cicho.

Potem znowu popisowały się śliczne konie, było ich osiem: cztery białe, a cztery czarne. W takt muzyki tańczyły polkę, kadryle i inne tańce. Maszerowały, biegały i skakały na dany znak.

Następnie znowu na scenę weszła Azra, już teraz inaczej ubrana, miała na sobie złotem wyszywany ponsowy gorset, ponsową krótką spódniczkę, białą muślinową koszulkę z bufiastemi rękawami, a na głowie zawój przypięty cekinami. W rękę trzymała jakieś dzwoneczki i uderzając nimi w takt, śpiewała i tańczyła.

— Ach jakież to śliczne — wołała znowu Zośka — i ja tak będę tańczyć.

Jerzyk milczał. Jemu się najlepiej podobały konie. Chciałby mieć jednego takiego i uciec stąd daleko, do Warszawy, do tatusia. A tymczasem na scenę weszły jakieś olbrzymie zwie-

rzęta, szare z grubemi nogami i wiszącymi nosami.

— Co to? — spytała Zośka.

— To słonie — objaśnił Jerzyk, znał je tylko z obrazów, ale pamiętał je dobrze, bo mamusia mu nieraz pokazywała i bardzo ciekawe rzeczy o tych zwierzętach opowiadała.

— Ach, jakie straszne — mówiła Zośka — oj patrz, toż on swoim nosem podnosi człowieka.

— To trąba — tłumaczył Jerzyk, sam zachwycony.

— No i cóż, podobał się wam cyrk? — rzekła Azra wchodząc do loży.

Dzieci opowiadały swoje wrażenia. Reszta przedstawienia, popisy kłownów, bitwy ich ze sobą, nie zajmowały ich wcale.

— Tego się nigdy nie będę uczył, ani robił — rzekł Jerzyk, patrząc, jak kłown jeden drugiemu sypał piasek na głowę i bił po twarzy.

— To go nic nie boli — tłumaczyła Azra — on ma maskę na twarzy.

— To wszystko jedno — odrzekł chłopczyk — ale mnie się to nie podoba.

Cyrk był już w zupełnym komplecie i codziennie szły przedstawienia, Jerzyk, Zośka i Mitro nie występowali dotąd, ale musieli się codziennie parę godzin ćwiczyć. Mitro oddany był do kłownów i ci go ćwiczyli; Azra nie interesowała się nim, opieką swą otaczała właściwie Jerzyka, ale że Zośka była miła, grzeczna, a przytem bardzo pojętna, więc młoda Cyganka i o nią dbała. Jerzyk dostał wkońcu upragnioną książkę, przyniosła mu ją pewnego dnia Azra. Dziwnym zbiegiem okoliczności była to: „Bitwa pod Ba-

szynem“, w której opisane są przygody małego Janka wśród Cyganów. Książka ta stała się najdroższym skarbem Jerzyka, nie rozstawał się z nią nigdy, idąc na swe lekcje chował ją pilnie, obawiając się, by złośliwy Mitro nie zabrał mu jej. Opowiadał o przygodach Janka, Zośce, aż pewnego dnia rzekł stanowczym głosem.

— Zośka, wiesz, i my uciekniemy od Cyganów, tak jak Janek.

— Ale gdzie my pójdziemy i kto nam da jeść?
— zapytała szeptem dziewczynka.

— Ja tego nie wiem — odparł — ale trzeba uciec tak, jak uciekł Janek. Tylko pamiętaj, Zośka, milcz i nikomu nic o tem nie mów.

I Zośka milczała. Zajęła ją nauka. Azra dotrzymała słowa i kupiła dzieciom elementarz. Zaczęły się lekcje z Jerzykiem. Nauczyciel był bardzo gorliwy, uczennica pilna, ale nauka taka trudna, że ani rusz nie mogła się Zośka nauczyć czytać. Martwiło ich to oboje i żadnej rady tu znaleźć nie umieli.

— Widzisz, Zośka — mówił Jerzyk, pokazując Zośce litery — to jest a, a to znowu b, a to c rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedziała i w tejże chwili już nie wiedziała, które a, a które c.

Brał się tedy nauczyciel na inny sposób, pokazywał obrazek i tłumaczył, że to anioł, a Zośka z zachwytem przyglądała się skrzydlatemu aniołowi.

— No, a teraz — mówił Jerzyk — zobacz, ta literka to a, prawda?

— Prawda — powtarzała — ale już nie wiedziała, gdzie się owo a znajduje. Oboje byli w rozpacz.

Za to wielu innych rzeczy uczyli się codziennie. Zapoznali się z różnemi zwierzętami w cyrku i zdobywali ich sympatię. Jerzyk nadewszystko polubił dużego, ciężkonogiego słonia. Azra przynosiła chłopakowi często owoce i karmelki. Jerzyk, który pamiętał to, co mu mamusia o tych zwierzętach opowiadała, spróbował słoniowi zwanemu Kimi, (co po japońsku oznacza przyjaciel) dać karmelek. Jakaż była uciecha dzieci, gdy Kimi, swą trąbą delikatnie rozwinął papierek, wyrzucił go i ze smakiem zjadł cukierek. Od tam Jerzyk przynosił mu codziennie jakiś przysmak, a słon tak go znał, że jak tylko chłopczyk wchodził do jego stajni, to Kimi wyciągał trąbę jakby na powitanie. Pewnego dnia po spożyciu ofiarowanego sobie jabłka otoczył Jerzyka swoją trąbą i leciutko podniósł go w górę. Chłopczyk przeraził się, ale tylko małą chwilę, bo Kimi, tak go tulił miękko, tak huśtał w swem objęciu, iż odrazu poznał, że to była tylko pieszczota.

Drugim stworzeniem, z którym Jerzyk i Zośka żyli w wielkiej zgodzie, była mała, zwinna małpka, Żolka zwana.

Żolka nadewszystko lubiła Zośkę, zato nie znosiła Mitry. Cyganiuk bowiem dokuczał jej po swojemu; pewnego razu pobili się ze sobą.

Żolka była bardzo zwinna, ale Mitro silniejszy i uderzył małpę szpicrutą po łapie. Żolka pisnęła przeraźliwie, a Zośka, która w tej chwili wbiegła, skoczyła do Mitry i zanim ten się obejrzał, wyrwała mu szpicrutę. Cygan rzucił się do dziewczynki i pewno odebrałby jej zpowrotem i samą ją obil, gdyby znowu Żolka nie stanęła do pomocy. Chwyciła pełną garść piasku i sy-

pnęła nim w oczy Mitrze, a potem skoczyła mu na kark i chwyciła go za czuprynę. Piszczeli przytem oboje tak przeraźliwie, iż nadbiegł Sam ze szpicrutą. Żolka widząc, że źle, rzuciła Mitrę i skoczyła w objęcia Zośki, która z nią uciekała, a Mitro oberwał. Odtąd Żolka stała się towarzyszką Zośki i Jurka. Była porządnie łakomą, więc we dwoje z Kimem, zjadali dzieciom wszystkie słodczyce, które im Azra przynosiła.

Tak więc dwoje biedaków polskich, znalazło przyjaciół pośród zwierząt cyrkowych, osładzało to im ciężkie życie. Niespodzianie złośliwość Mitry przyczyniła się do zbliżenia ich z człowiekiem, który miał zostać najlepszym przyjacielem.

Cyganiuk kręcił się bezustannie wśród lwów i zwierząt, węsząc, gdzieby coś złapać, złasować, podsłuchać lub przynajmniej spsościć. Nikt go nie lubił, ani ludzie, ani zwierzęta. Był zręczny, gimnastykował się doskonale, wlot uczył się wszelkich figlów kłownowskich, nie bał się niczego. Stary Sam, który jak powiadał o sobie, żeby zjadł na tresowaniu zwierząt i dzieci, uważał go za najzdolniejszego ucznia, pomimo wszystko nie lubił go.

Mitro też nikogo nie lubił, najmilszą jego zabawą było dokuczanie komukolwiek i to najczęściej w sposób bardzo bolesny. Czasu mu nie brakło, bo poza nauką cyrkową, która trwała parę godzin dziennie, wolny był i wałęsał się z kąta w kąt nic nie robiąc, prócz niemądrych, złych psot.

Dozorcy stajen i zwierząt niechętnie widzieli, gdy drażnił zwierzęta, co w cyrkach surowo jest wzbronione, zaglądał więc do kuchen, podwó-

rzy, wsuwał się jak wąż wszędzie, a wyrzucany wracał po chwili.

IV. Przyjaciół.

Cyrk Fernanda, w którym byli Jerzyk i Zośka, miał swoją orkiestrę. Między muzykantami był Czech, Jaromir, skrzypek, ślepy od urodzenia. Mitro i jemu psocił. To stołek odsunął, to schował smyczek, o ile zobaczył, że grajek położył go na chwilę i zawsze coś wymyślił, czem ślepemu mógł dokuczyć.

Jurek i Zośka nie znali wcale Czecha, chociaż już parę miesięcy byli z nim razem w cyrku. Nie śmieli tak się kręcić wszędzie jak Mitro, zresztą byli zawsze zlekka strzeżeni przez Sama i innych cyrkowców. Nie wiedzieli nawet, że skrzypek jest ślepy.

Nadszedł dzień wyjazdu z Żytomierza. Cyrk przenosił się na zimę do Kijowa. Zwijano obóz, chowano cały cyrkowy dobytek, wszyscy byli zapracowani i zajęci. Mitro kręcił się jeszcze bardziej po wszystkich kątach i dojrzał zdaleka, że Jaromir położył swoje skrzypce, a sam wyciera i czyści futerał od nich. Zaświeciły radością oczy Cygana. Cichutko, zwinny jak małpa, podsunął się do stołu, na którym leżały skrzypce, ściągnął je, a na ich miejscu położył duży kawał drzewa. Jaromir nie słyszał jak cyganiuk się zakradł i umknął wraz ze skrzypcami. Jakież było przerażenie biednego grajka, gdy zamiast ukochanego instrumentu, poczuł w ręku drewna. Próżno szukał skrzypiec, nigdzie ani śladu. Wołał, krzyczał ratunku, ale wszyscy zajęci swą robotą nie

zwracali na niego uwagi. Gwar i hałas nappełnił cały barak cyrkowy i głos skrzypka ginał w tym zamęcie.

Mitro tymczasem wyniósł skrzypce gdzieś poza barak i tam spotkał się z Jerzykiem i Zośką.

— Mitro, skąd ty masz te skrzypce? — zapytała dziewczynka.

— Kupilem — odrzekł spokojnie Cyganiuk — zaraz je nastroje i zobaczycie jak zagram. Mówiąc to, począł przebierać palcami po strunach, bo smyczka nie miał.

— Popsujesz cudze pewno skrzypce — rzekł Jerzyk, który się domyślił, iż Mitro nie mógł kupić skrzypiec.

Ale tamten nie słuchał, tylko coraz bardziej pstrykał strunami.

Dźwięk ten doszedł do uszu właściciela skrzypiec i biedny grajek, z wyciągniętymi przed sobą rękami, wyszedł z baraku, wołając o skrzypce.

— Ślepy, on ślepy, widzisz, Jerzyku — zawołała Zośka.

Oboje nie rozumieli słów Czecha, ale widząc go idącego wprost do Mitry, domyślili się, że jest właścicielem skrzypiec.

I Mitro spostrzegł go, położył więc skrzypce i siedział cichutko.

— Moje skrzypce, gdzie są moje skrzypce! — wołał Czech.

— Oddaj mu skrzypce — zawołał Jerzyk — on taki biedny.

— Panie, panie — wołał zwracając się do ślepego — tu są pańskie skrzypce, Mitro je ma.

Mitro rzucił się na Jerzyka.

— Ach ty — zawołał — co ty będziesz tu donosił, ja ciebie nauczę, ty grafie!

I z pięściami wpadł na Żurawskiego.

Czech posłyszał krzyk i stanął, nie rozumiejąc, o co chodzi, wtem Zośka porwała zostawione przez Cygana skrzypce i podała mu je.

W tejże chwili rozległ się straszny krzyk. Mitro złapał Jerzyka za włosy i rzucił go na ziemię.

Zośka krzyczała przeraźliwie i biegła ku obronie przyjaciela, za nią podążał biedny ślepy, niebardzo rozumiejąc, co się dzieje.

Niewiadomo, na czemby się to wszystko skończyło, gdyby nie zjawienie się niespodziewane Sama. Świsnęła nieodstępna szpicruta, i teraz z kolei krzyczał Mitro; zły chłopak zaraz skorzystał ze sposobności i oskarżył Jurka, że tamten zabrał skrzypce Czecha i że on Mitro bronił własności ślepego.

— Kłamiesz, szczeniaku! — krzyknął Sam. — Znam twoje sprawki i przed chwilą widziałem cię, jak zmykałeś ze skrzypcami. Wynoś mi się tu zaraz, bo cię osmagam jak psa.

Potem zwróciwszy się do ślepego, coś mu długo opowiadał.

Czech wyciągnął ręce do dzieci, stojących z boku, dziękował im, objął ich oboje i tulił do siebie, potem wziął swoje skrzypce i zagrał im na podziękowanie.

Tak Jurek i Zośka zawarli znajomość ze skrzypkiem. W Kijowie byli już dobrymi przyjaciółmi. Prędko poduczyli się trochę po czesku, a grajek cośnecoś mówił po polsku, gdy przez parę lat żył w Polsce, porozumiewali się więc ze sobą doskonale. Jerzyk przylgnął do biednego

ślepego, tak jak do nikogo w cyrku. Najmilej mu było siedzieć z Czechem i słuchać jego muzyki. Ach, jak bardzo chciałby kiedy wziąć do ręki skrzypce i pociągnąć po nich smyczkiem, może i onby tak potrafił, nie śmiał jednak prosić o to swego przyjaciela. Dopomogła mu Zośka.

— Jurek — zapytała raz, gdy tak siedzieli we troje i Czech grał jakąś pieśń — czy tybyś chciał tak grać?

— Bardzobym chciał — zawołał Jerzyk.

Niewidomy podał mu skrzypce. Były jednak za duże dla Jerzyka, nie mógł sobie z nimi poradzić. Wtedy Czech zaczął nucić, a Jurek odrazu pochwycił melodię i powtórzył za nim.

Nazajutrz już dostał małe skrzypce i rozpoczęła się nauka.

Dyrektor cyrku, zawiadomiony przez Jaromira, przyszedł wraz z Azrą na pierwszą lekcję.

— No — rzekł zwracając się do Cyganki — teraz może się ten chłopczyk na coś przyda, bo kłownem nie będzie on nigdy.

Azra była uradowana. Uściskała Jurka i obsypała go łakociami, a grajkowi zapowiedziała, że dostanie podwyższenie płacy, o ile Jurka będzie uczył.

Wszyscy więc byli zadowoleni.

Lekcje odbywały się regularnie, a Jerzyk, tak był niemi uradowany, że uczyłby się chętnie całymi dniami.

Jaromir zachwycony był swym uczniem.

— On będzie grał jak sam Sarassate — mówił do kolegów — ten chłopak ma duszę w palcach.

I wszyscy muzykanci cyrkowi jednogłośnie to potwierdzili, każdy z nich chciał uczyć Jerzyka na swoim instrumencie. Nazywano go ogólnie

„Piccolo“ to jest małym i twierdzono, że zostanie wielkim artystą. Dyrektor łaskawem okiem patrzył na chłopca.

Jerzyk rzeczywiście robił duże postępy, jednocześnie jednak w jego duszy muzyka budziła coraz większą tęsknotę za domem, za ojcem, a zwłaszcza za matką. Przypomniały mu się piosenki, które mu do snu nuciła, lub te, które z nim razem śpiewała. Słów często nie pamiętał, ale melodię nucił, a potem próbował ją wygrywać na swych skrzypeczkach. Słuchał tej dziecinnej muzyki Jaromir i zachwycony chwytął skrzypce i wygrywał wraz ze swym uczniem polskie pieśni, a że Czech był naprawdę artystą, w rękę jego skrzypce nabierały duszy i radowały się szczęściem lub płakały bólem.

Przy tej muzyce nauczyciel i uczeń poznawali się coraz bardziej ze sobą. Jerzyk bardzo prędko wyuczył się pobratymczej mowy i opowiadał ślepemu grajkowi swoje dzieje. Z pod zamkniętych powiek Czecha popłynęły łzy serdecznego współczucia. Przygarnął chłopaka do siebie mówiąc:

— Ach, biedny ty biedny, dzieciaku, biedny sieroto, jakież straszny twój los.

Słowa te przeraziły Jerzyka.

— Dlaczego pan to mówi? — zawołał — mama umarła, to prawda, jestem sierotą, ale tatuś żyje, a Azra obiecała, że mnie do tatusia odwiedzie, jak się tylko wojna skończy.

— Tak — szepnął Czech — ale kiedy ona się skończy! A zresztą, Jerzyku, powiem ci prawdę, gdyby się nawet i skończyła, to te Rumuny nie puszczą cię tak łatwo, oni będą chcieli mieć cię

u siebie jak najdłużej. Teraz jesteś jeszcze dzieckiem i muszą cię żywić, odziewać, nie przynosisz im żadnej korzyści, ale potem gdy będziesz starszy, będziesz grał ładnie i śpiewał może, to oni będą mieli z ciebie korzyść wielką i dlatego nie wierz chłopcze w to, by oni cię kiedy ojcu oddali.

— Ale Azra mnie przyrzekła — powtarzał Jerzyk.

— Azra jest dobra, ale i jej wierzyć nie trzeba, bo i ona o sobie będzie więcej myślała, niż o tobie — mówił ślepy — więc chociaż ci obiecała, będzie chciała zatrzymać ciebie jak najdłużej w cyrku, liczy ona na to, że powoli przywiążesz się do nich, przywykniesz do życia cyrkowego i zapomnisz o swoich.

— Nigdy, nigdy! — zawołał Jerzyk — nigdy mamusi i tatusia nie zapomnę, chcę do nich wrócić koniecznie.

I naraz zarzucił ręce na szyję ślepemu i całując go prosił:

— Panie Jaromirze, pan ze wszystkich najlepszy, niech nas pan ratuje i mnie i Zośkę, niech pan coś takiego wymyśli żebyśmy do mego tatusia dostać się mogli, mój panie drogi.

— Biedne wy, biedne dzieci — mówił Czech tuląc chłopca do siebie — strasznie mi was żal; trzeba myśleć coby zrobić, żeby was stąd wyrwać.

Przy tej rozmowie Zośki nie było, odbywała ona w tej porze swoje ćwiczenia. Dziewczynka była bardzo zręczna i śmiała, uczono ją więc na woltyżerkę, do czego okazywała wielkie zdolności.

Wieczorem dopiero Jerzyk powtórzył jej całą rozmowę ze ślepym skrzypkiem i to wszystko czego od niego się dowiedział.

— Co robić, Zośka? — mówił, kończąc swe opowiadanie — powiedz, co robić? Myślę, że chyba trzeba nam uciekać.

— Ale jak? — zapytała. — Oni nas wszędzie znajdą i wszędzie dogonią, mają konie, ludzi, policję, a my co?

— Gdybyśmy jednak uciekli i schowali się gdzie w mieście — mówił Jerzyk.

— Tak, a kto nas schowa? — rzekła dziewczynka. — Żeby to jeszcze w lesie, to łatwiejby było wleźć gdzieś między krzaki, a tu... Ot, wiesz co — powiedziała po krótkim namyśle — żeby tak uciec na tym koniu, na którym ja jeżdżę. On mnie już zna i gdybym go tylko mogła wyprowadzić ze stajni, tybyś siadł za mną i tak uciekliśmy z pewnością.

— Nie — odrzekł Jerzyk — tak nie można, my konia brać nie możemy, to cudza własność, tobyśmy tak zrobili jak złodzieje. Uciec jednak sami powinniśmy.

Była to ostatnia rozmowa Jerzyka z Zośką.

Nazajutrz rozdzielono ich. Zośka była odtąd wśród dziewcząt, a Jerzyk pod ciągłą opieką Sama i w towarzystwie Mitry. Nieszczęśliwi byli z tej zmiany i pojąć nie mogli, dlaczego tak zarządzono. Nie wiedzieli o tem, że Mitro podsłuchiwał koniec ich rozmowy i doniósł o zamierzonej przez nich ucieczce Azrze i Samowi. Szczęściem, że Cygan się spóźnił i nie słyszał opowiadania Jerzyka o Jaromirze.

Jedynie więc podczas lekcji muzyki Jerzyk był wolny od towarzystwa Mitry i jego ciągłego dokuczania. Ślepy grajek bowiem stanowczo nie zgodził się, by Mitro był nawet w jego pobliżu.

Cyrk dawał wielkie przedstawienie. Były tańce i marsze końskie, występy fok, jako żołnierzy. Walka Tunguzów z czerwonoskórymi. Tunguzami były małpy, a czerwonoskórymi psy. Mała Żolka, księżniczka tunguska, schwytana została do niewoli przez wodza czerwonoskórych, zuchwałego Dzikiego Wilka. Próżno Tunguzi starali się odbić swą księżniczkę, próżno zręczna i zwinna Żolka, jak piskorz kręciła się i wywijiała z łap napastnika, uniósł ją do swego szałas i tam zamknął, a wiernym bojownikom zdał straż nad księżniczką. Ale Tunguzi nie dali sobie wydrzeć Żolki, w nocy, gdy wszyscy posnęli, obeszlą wigwan (szałas) czerwonoskórych i odkrywając miejsce, gdzie straży nie było, zrobili podkop. Księżniczka wyszła przez ten dół i szczęśliwie wróciła do swoich. Nie mogła jednak darować swego upokorzenia i na czele walecznych obrońców, napadła na uśpiony obóz czerwonoskórych.

Stał się hałas straszny. Wycie małp i psów zmieszało się w jedną okrutną wrzawę. Tunguzi zwyciężyli wkońcu. Czerwonoskórzy albo legli na placu boju albo poszli w niewolę. Dzikie Wilk całował stopy księżniczki, zarzucono mu łańcuszki na szyję, musiał stanąć na czterech łapach, księżniczka usiadła na nim jak na koniu i w otoczeniu czterech Tunguzów niosących rozpięte żółte i czarne chorągwie objechała arenę dwukrotnie. Rozbawiona publiczność oklaskiwała mężną Żolkę, darząc ją owocami i karmelkami. Po tem przedstawieniu, na arenę wjechała na ślicznym złotym kasztanku Zośka. Jechała stojąc, a wyglądała jak śliczny złoty motyl. Spódniczkę krótką i gorsecik miała koloru złota, na rozpuszczonych

włosach błyszczącą opaskę i białe bufiaste rękawki u koszulki. Muzyka grała walca. Złoty konik w takt kręcił się po scenie, a dziewczynka uśmiechając się do publiczności, rozrzucała między nią kwiaty, których miała pełne ręce. W tem weszli dwaj kłowni w czerwonych trykotach z liną w rękę. Każdy z nich stanął w jednym końcu sceny, trzymając silnie naprężoną linę. Zośka bez wahania wskoczyła na nią i jak ptak biegła z jednego końca na drugi.

Dreszcz przebiegł po publiczności, gdyby tak zachwiała się ta śliczna dziewczynka, gdyby na chwilę straciła równowagę, jużby było po niej. Ale Zośka przebiegła całą linę poczem wskoczyła na konika i żegnając rączką publiczność zginęła za kulisami.

Jeszcze zachwycano się zręcznością małej woltyżerki, gdy na estradę tym razem wyszedł ślepy grajek, prowadzony przez małego, ślicznego jasnowłosego chłopczyka. Zagrali obaj, a publiczność oderwać oczu nie mogła od Jerzyka, ubranego w szafirową aksamitną kurteczkę, także krótkie spodeńki, czarne pantofelki i szafirowe pończoszki. Na szyi miał duży koronkowy kołnierz. Wyglądał jak obrazek i niejeden z obecnych w cyrku pytał się, skąd takie śliczne dziecko znalazło się w rumuńskim cyrku?

Po przegraniu pierwszego kawałka wspólnie z Jerzykiem, Jaromir grał sam i porwał zebranych swą piękną i głęboką muzyką. Gdy umilkły oklaski, któremi go darzono, ślepy dał znak służbie, wniesiono podwyższenie, na które wszedł Jerzyk i sam teraz grać zaczął. Grał swoje własne utwory, te piosenki, które mu matka śpiewała,

i teraz wszyscy, cała sala odczuła to, co mówił Jaromir, że chłopczyna ma duszę w swoich skrzypcach. Mówiły one, skarżyły się, i płakały aż w końcu zakończyły modlitwę. W cyrku rumuńskich cyganów, wśród obcej publiczności, pod palcami nieznanego dziecka, popłynęła pieśń wyśpiewana przez polską poetkę: „Gdy się modła polskie dzieci“.

Wrażenie było ogromne. Wywoływano Jerzyka. Wołano, by grał jeszcze i jeszcze, ale chłopczyna był zmęczony i Jaromir nie pozwolił mu wychodzić na scenę i grać po raz drugi. Sam zato, gdy wszyscy odeszli, pochwycił Jerzyka w objęcia, ścisnął go i całował, szepcząc:

— Ty będziesz artystą, zobaczysz, że będziesz sławnym, ty moje dziecko najmilsze.

Na scenie tymczasem działy się rzeczy nadzwyczajne. Oto przeniesiono tu Alpy, czy może Himalaje, wysokie strome góry. Wśród niebotycznych skał wiła się wąska droga, którą szła obładowana karawana. Więc osły i muły objucone, jeźdźcy na koniach, przewodnicy piesi, a na samym końcu z wieżą na grzbiecie suną zwolna olbrzymi słoń „Kimi“. Na wieży siedział błyskając biłą zębów i białkami oczu, umalowany na murzyna Mitro jako Schid-bej, wielki wojownik afrykański.

Wszystkie zwierzęta szły wolno i spokojnie wspinając się po skałach, doszły do szczytu jednej góry i po wąskim pomoście rzuconym nad przepaścią przepawiły się na drugą górę, z której znowu po stromych zboczach schodziły ku dolinie. Naraz Kimi, który już doszedł do szczytu, stanął nieruchomy, Mitro zawołał, ale bezskutecznie, słoń

poruszył tylko trąbą z niespokojem, stojąc wciąż w miejscu.

Zaniepokojony dyrektor, iż przedstawienie zepsute będzie podszedł do zwierzęcia i głośno kazał mu iść dalej, ale słoń ani drgnął. Wtedy podszedł Sam z długą ostrą dzidą i ukłuł słonia pod prawem uchem. Zabolało go widocznie, bo drgnął, lecz się nie ruszył. Drugi i trzeci raz ukłuł go Rumun rozwścieczony, aż krew popłynęła z rany.

Publiczność zaciekawiona, przyglądała się tej scenie. Na rozkaz dyrektora drugi Rumun podszedł z drugiej strony do słonia i jednocześnie z Samem, zapuścił mu dzidę pod lewe ucho. Słoń broczył krwią, stał jednak nieruchomo, tylko jęknął tak boleśnie, iż wzbudził współczucie wśród publiczności.

— Dość, dość — wołano — nie męczyć biednego zwierzęcia! Precz z dzidami!

Dręczyciele odstąpili, a jednocześnie przewodnicy weszli drugą stroną na szczyt góry i zrozumieli dlaczego Kimi nie chciał iść. Rusztowanie wzniesione dla podtrzymania pomostu ponad przepaścią obluzowało się i gdyby słoń wstąpił na nie, niechybnie runąłby wraz z wieżą i Mitrem i połamałby sobie kości.

Powoli z ogromną ostrożnością sprowadzono biednego Kimi nadół.

Widzowie zachwyceni jego mądrością zeszli na arenę, darząc go różnemi przysmakami. Znalazł się i doktor, który mu krew zatamował. Zdjęto z niego wieżę i Mitra, któremu jazda tak się nie udała.

Łakocie ułagodziły słonia, chodził spokojnie wśród publiczności, przyjmując owoce i słodczyce jako rzeczy sobie należne.

I dyrektor cyrku chciał mu okazać swą serdeczność, przyniósł więc kilka jabłek, ale Kimi, widocznie zrozumiał, kto go narażał na niebezpieczeństwo, a następnie sprawił dotkliwy ból, i wcale przyjacielsko do swego dręczyciela nie był usposobiony. Jabłka zgarnął swą trąbą, lecz ani jednego z nich nie zjadł.

Rzucił je z pasją na ziemię i deptał nogami, a ostatniem tak wycelował, iż trafił niem w okrągły dyrektorski brzuszec. Tym razem jęknął człowiek, a publiczność wybuchnęła szalonym śmiechem i słon zdawał się tę uciechę podzielać krążąc wesoło po arenie.

Jerzyk korzystając z zamieszania wsunął się na arenę, wśród widzów i z zachwytem przyglądał się występom słonia. Ktoś z publiczności, dojrawszy małego artystę obdarzył go paczką cukierków. Chłopczyk podsunął się ku słoniowi i pokazał mu karmelki. Kimi w jednej chwili był przy Jerzyku. Cukierki wziął, z powagą rozwinął je z papierków i schrupał momentalnie, a potem wyciągnął trąbę, objął nią Jerzyka, miękko przytulił do siebie i kołysząc chłopca jak matka, obszedł parę razy arenę, poczem postawił go zwolna koło drzwi i sam zniknął za niemi.

Przedstawienie było skończone.

Nazajutrz w pismach pojawiły się albrzymie artykuły o cyrku Fernanda. Pisano z zachwytem o mądrym słoniem, jednocześnie unoszono się nad niepospolitą grą cudownego chłopca artysty. Opi-

sywano jak wygląda, snuto rozmaite przypuszczenia i domysły.

Nikt nie wierzył, by to mogło być dziecko cygańskie, a nawet rumuńskie.

Zaraz po ukazaniu się tych artykułów, do cyrku zaczęli się zjeżdżać różni panowie i panie, chciano poznać Jerzyka, pomówić z nim. Dyrektor jednak nikogo tego dnia nie chciał przyjąć. Był bardzo zajęty przygotowaniem nowego przedstawienia, a Jerzyk był zmęczony i musiał wypocząć przed nowym występem.

Bilety wykupiono w jednej chwili. Tymczasem tejże samej jeszcze nocy Sam wywiózł Jerzyka i Zośkę. Nikt nie wiedział dokąd.

V. Balonem ku wolności.

Dyrektor cyrku Fernanda, po naradzie z Azrą wysłał Jerzyka z Kijowa. Młoda Cyganka przelekła się, by jej nie odebrano dziecka, przywiązała się do Jerzyka i marzyła o tem, że chłopak powoli zapomni o swej przeszłości i będzie kochał ją jak matkę. Niezwykłe zdolności muzyczne Jerzyka cieszyły ją i napawały dumą. Rośla według swego pojęcia świetną przyszłość dla swego wychowanka.

I dyrektor nie chciał stracić dochodu, który mu zapewniał talent cudownego dziecka. Bał się trzymać Jerzyka w Kijowie, gdy prasa całe miasto poruszyła, bał się, by tajemnica dziecka nie wyszła najaw, i nie odebrano mu chłopca, wszak Mitro ostrzegał go, że Jerzyk chce uciec z cyrku.

Wolał więc przerwać na jakiś czas jego naukę, wyrzec się dochodów z jego występów i ukryć chłopca w takim miejscu, gdzieby go trudno było odnaleźć.

Sam był człowiekiem, któremu najbardziej ufał, oddał mu więc chłopca pod opiekę i kazał jechać z nim do Rumunji. Azra nie chcąc osamotnić chłopca, wysłała z nimi i Zośkę. Wmówiła w dyrektora, że dziewczynka może przed kimś opowiedzieć coś o Jerzyku i że dlatego należy i ją usunąć. Zresztą Sam mógł ją i w Rumunji uczyć wszelkiej wiedzy potrzebnej w jej zawodzie. Dzieciom powiedziano, że jadą do Rumunji, dokąd i cyrk cały niedługo za nimi podąży.

Tak wszystko mądrze i pięknie ułożone zostało przez pana dyrektora i Azrę, jednego tylko nie pamiętali, że Sam był człowiekiem złym, fałszywym i że on również skorzysta z tego, by z Jerzyka i Zośki ciągnąć zyski. Po przyjeździe do Jass, gdzie miał czekać dalszych poleceń, zdecydował się szybko. Zośka była zręczną lino-skoczką, tańczyła bardzo ładnie, wybijając przytem takt na bębenku, a jeżeli Jerzyka gra zadowolą publiczność w Kijowie, to chyba spodoba się i mniej wybrednym słuchaczom w Rumunji.

Pieniądzy trochę mieli, bo dyrektor dał na podróż, parotygodniowy pobyt w Jassach i naukę Jerzyka. Azra dodała też coś od siebie, można było więc z tem rozpocząć.

Dotąd Sam był zależnym akrobatą i nauczycielem nowowstępujących do cyrku Fernanda, teraz postanowił wystąpić samodzielnie. Zawinął się też szybko. W Jassach zapoznał się z kilku

innymi kuglarzami, jednego z nich umówił do siebie, od drugiego kupił parę białych myszy już uczonych, dostał gdzieś kanarka, umiejącego wyciągać kartki z przepowiadniami, wkońcu ku swej radości i uciesze Jerzyka i Zośki nabył małą małpkę. W ten sposób zorganizował cały cyrk, a właściwie budę jarmarczną, z którą postanowił wędrować po całej Rumunji.

Kupił też wóz wędrowny z budą, starego konia z zapadniętymi bokami i pewnego pięknego poranku zabrawszy wszystkich swych artystów i artystki ruszył w świat.

Jerzyk i Zośka nie byli wcale zachwyceni tą zmianą. Woleli być w cyrku z Azrą i Jaromirem, którego nawet pożegnać nie mogli. Sama nie tylko że nie lubili, ale bali się go, wszak wiedzieli, że gdyby nie opieka Azry, to Rumun zbili by ich dawniej nieraz, a teraz byli w jego ręku. Wyprawiając ich w nocy, Azra zapewniała, że niedługo znowu będą razem, że w Jassach Jerzyk ma się uczyć muzyki, a tymczasem ten straszny brodac znowu ich gdzieś wiezie. Są w kraju obcym, gdzie ich nikt nie zna i oni nikogo nie rozumieją.

Wszystko to przerażało dzieci mocno. Jerzyk zaś coraz bardziej umacniał się w jednym. — Uciec trzeba, koniecznie trzeba, bo inaczej zginą na pewno.

— Wiesz, Zośka — mówił — jak kiedy będziemy przejeżdżali przez wielki las, to musimy wysunąć się z wozu i uciec.

Zośka głową kręciła.

— Co ty mówisz — odpowiedziała — jak ty się z tego wysokiego wozu wysuniesz? Jabym

jeszcze wyskoczyła z wozu, ale ty nie potrafisz.

— No to — mówił Jerzyk — jak kiedy gdzie będziemy nocowali w lesie, albo nawet w dzień odpoczywali, a Rumuny zasną, my cichutko w nogi.

— Najlepiej byłoby — mówiła Zośka — na koniu, oj żeby to moja Strzałka tu była — dodała, myślar o złotej klaczce, na której jeździła w cyrku — tobyśmy uciekali, ale na tej szkapie to i jechać nie warto — dodała patrząc z pogardą na ciągnącego wózek konia.

— Ani Strzałki, ani tej szkapy nie weźmiemy — rzekł poważnie Jerzyk — mówiłem ci już raz Zośka, że cudzych rzeczy nie chcę.

— Ale tak piechotą, to już daleko nie zajdziemy — westchnęła dziewczynka — a im łatwiej będzie nas dogonić.

— Zobaczysz — rzekł spokojnie Jerzyk — że jednak uciekniemy, byle nas tylko nie rozdzielili. Wiesz, Zośka, my zawsze musimy być razem. Jak to zrobić, by Sam nas może śpiących kiedy nie rozdzielił?

— Już wiem — rzekła Zośka — mam sznur i to mocny. Jeden koniec przywiążę sobie do ręki, a ty weźmiesz drugi i również zawiążesz sobie na rękę; gdyby nas kto poruszył, zbudzimy się oboje.

— Doskonale — rzekł Jerzyk — dziś zaraz to zrobimy.

Zwierzęta jak w cyrku, tak i tu stały się przyjaciółmi dzieci. Małpka, którą na pamiątkę swej cyrkowej przyjaciółki nazwali Żółką, biegała jak

piesek wszędzie za nimi, wskakiwała na ramiona Jerzykowi i we wszystkim starała się naśladować Zośkę. Dziewczynka nosiła zawsze na głowie w drodze czerwoną chusteczkę. Żółka zaczęła się domagać o takież nakrycie głowy, i Sam musiał jej kupić chustcinę czerwoną w kwiatki. Wiazała ją sobie pod brodą i zabawnie wyglądała w tym stroju. Trzeba też jej było dać bębenek, z którym kręciła się naśladowując taniec Zośki.

Pewnego dnia miano dawać przedstawienie w jednym z miasteczek rumuńskich. Rano podczas próby Sam powiedział Jerzykowi, że po odbytem przedstawieniu ma wziąć swoją czapeczkę i obejść dokoła zebranych, prosząc o datek.

Chłopak zachnął się.

— Ja tego robić nie będę — zawołał — żebrakiem nie jestem.

Sam wpadł w gniew, krzyczał, tupał nogami i wymyślał.

— Jeśli mi tego nie zrobisz, obrzydły bębenie — wołał — to poznasz się z moją szpicrutą i zostaniesz bez wieczerzy. Co za jasny grań, żebrać nie będzie.

Jerzyk stanął cały w ogniu.

Niech go zabiją, myślał, ale on żebrać nie będzie.

Zośka, której się na placz zbierało, skoczyła ku pomocy.

— Ja, panie dyrektorze, (tak Sam kazał sobie tytułować), będę zbierała pieniądze, ot tak — i zabrawszy w garść swój fartuszek, obiegła dokoła widzów, a byli nimi Sam i ów drugi Rumun kuglarz, i wdzięcznie się kłaniając, prosiła o datek.

Robiła to tak zręcznie i ładnie, tak się przytem uśmiechała, że groźny dyrektor udobruchał się i zgodził się na to, by dziewczynka była kwestarka.

W tejże chwili Żółka wyskoczyła z kąta, w którym siedziała cichutko, śledząc wszystko ciekawemi oczkami. Skoczyła do Zośki i gwałtownie domagać się zaczęła, by jej dała swój fartuszek. Próba była już skończona, Zośka więc nie rozumiejąc o co chodzi, dała małpce fartuszek, a ta naśladując dziewczynkę podbiegła do każdego z obecnych i robiąc najpocieszniesze minki prosiła o rzucenie grosza do fartuszka.

— Doskonale — zawołał Sam. — Małpka okazuje więcej rozumu, niż jasny graf, co ledwo brząkać umie na strunach. Żółka będzie zbierać pieniądze. Za to dostanie pomarańczę, a pan graf, za grymasy nie będzie dziś jadł obiadu.

Tak Żółka wybawiła Jerzego od kary, którą z pewnością wymierzyłby mu był zły Sam. Ubrano małpkę w żółtą spódniczkę, zielony kaptanik ze złotymi guzami, a na głowę dano jej czapeczkę pstrą w ponsowe, żółte, szafirowe i zielone paski z małemi dzwoneczkami. Zośka oddała jej swój fartuszek, który odpowiednio przybrała dzwoneczkami i tak ustrojona małpka stała się odrazu ulubienicą zebranej publiczności. Fartuszek jej napęłnił się nietylko grosikami, ale i słodyczami różnego gatunku. Wszystko wdzięcznie przyjmowała, grosiki skrzętnie trzymała, ale cukierki i owoce ginęły w jej czarnym pyszczku. Dowiodła też, że złośliwych żartów nie lubi, bo gdy jakiś chłopak puścił jej zamiast grosika o któ-

ry prosiła, dymem w sam nos. Żółka zaksztusiła się i kichać zaczęła, po chwili jednak uspokoiwszy się, podbiegła do niemądrego żartownisia i tak go porządnie wolną łapką wytrzepała po twarzy, że aż krzyczeć zaczął z bólu. Publiczność wybuchnęła śmiechem a Żółka ukloniła się wszystkim tak jak to robiła po swych występach Zośka i pobiegła za kulisy.

Sam w wędrówce swojej omijał większe miasta. Rumuni, przypuszczając iż tam z cyrku Fernanda robione będą za nim poszukiwania, odwiedzał zato wsie i miasteczka mniejsze i wszędzie był dobrze przyjmowany. Zośka zachwycała wszystkich swą zręcznością. Jerzyka muzyka przemawiała do dusz ludzkich. Był w niej smutek i taka dziwna tęsknota, że szła do serc, brała je ta melodia tem bardziej, że i na świecie wesoło nie było; huczały zdala armaty, grożąc zagładą i spustoszeniem sąsiednim krajom i siejąc strach w duszy spokojnych Rumunów, by ta wojna straszna, której dotąd tylko widząmi byli, nie przeniosła się do ich ziemi i nie porwała im ojców, synów i braci. Radzi więc byli ludzie każdej rozrywce, która im dała chwilę zapomnienia i wesołości. Dlatego cyrk Sama witany był wszędzie z radością.

Bawiono się białemi myszkami, które pompowały wodę z małej studni, męły zboże i woziły w karetkce małe lalki.

Uganiało się za przepowiedniami, które kanarek wyrzucał ludziom z klatki. Sam sprytny jak prawdziwy kuglarz, wiedział gdzie i jaką przepowiednię rozrzucić. Matki więc dostawały kartki zapewniające je, iż synów im na wojnę nie wez-

ma, dziewczęta dowiadywały się, że rychło za-
mąż pójdą, chłopcy, że zostaną ministrami, kupcy,
że świetne interesy będą robili i tak dalej.

Rok niemal cały włóczono się tak po Ru-
munii, mały wózek zmienił się w wielką budę,
którą ciągnęły dwa duże rosłe konie, a Jerzyk
i Zośka, chociaż wciąż myśleli o ucieczce, ani rusz
spełnić swego zamiaru nie mogli.

Nadeszła śliczna wiosna, drzewa pokryły się
cudownem kwieciem, ciepło i jasno było i Jerzyk
z Zośką chętnie pobiegali by wśród pól rumuńskich,
odetchnęli by świeżem powietrzem, lub zbierali ja-
gody w ciemnych lasach. Ale o tem wszystkiem
i myśleć nie mogli. Musieli wciąż pracować dla
kieszeni Sama: tańczyć, śpiewać i grać na rozkaz.
Coraz też bardziej smutnieli, nie widząc sposobu
wydobycia się ze swej niewoli. Powoli zapomi-
nali i mowy swej, bo chociaż ze sobą rozmawiali
zawsze po polsku, to jednak przebywając w oto-
czeniu obcem, niepostrzeżenie przywykali do ru-
muńskiego języka i kaleczyli nim swój rodzinny.
A byli oboje jeszcze tacy młodzi, że tego wcale
zauważyć nie mogli. Imiona swoje znali, ale Zośka
o nazwisku rodziców swych nie wiedziała, a i Je-
rzyk zapomniiał już swego, wiedział tylko, że ma-
musię tatuś nazywał Anią, a ona mówiła do ta-
tusia Janku.

W piękny majowy poranek buda pana dy-
rektora Sama, zatrzymała się w miasteczku ru-
muńskim Sinoutzu. Miano tu pozostać co najmniej
ze dwa tygodnie, gdyż i samo miasteczko było
spore i okolica ładna. Sam zgóry zacierał ręce

i upominał swych artystów, by nie zrobili mu
zawodu.

Zaraz jednak na wstępie zrzędlą mina pana
dyrektora, dowiedział się bowiem, że już inny ku-
glarz go uprzedził, zjechał bowiem wcześniej i dał
już ogłoszenia o swych występach.

Sam zgryzł się tą wiadomością mocno, ale
jako człowiek obrotny, stuknął się palcem w czoło
i pomyślał coby tu takiego wymyślić, żeby wyjść
bez straty. Namysłiwszy się poszedł do tamtego
kuglarza i w parę godzin wrócił uradowany. Na-
zajutrz olbrzymie czerwone ogłoszenia obwieściły
miastu Sinoutzu, że za dwa dni odbędzie się nad-
powietrzny koncert cudownych dzieci.

Kuglarz, który uprzedził Sama, był Niemcem
i miał ze sobą balon na uwięzi, na którym zamie-
rzał wozić ludzi żadnych podróży napowietrz-
nych. Dyrektor Sam zaproponował zatem dyrek-
torowi Wilhelmowi Schusterowi, by urządzić na
współkę coś nadzwyczajnego. Oto on Sam ma
u siebie cudowne dziecko, Jerzyka, który gra na
skrzypcach lepiej niż sam Sarassate, a że dyrektor
ma balon, więc wsadzą małego artystę do balonu,
podniosą go o jakie kilkanaście metrów od ziemi
i wtedy chłopak zagra dziarskiego czardasza,
mazura lub jaką uwerturę, czy sonatę. Sam na
muzyce się nie znał i wszystko mu było jedno,
co i jak kto gra, byleby miał dochód. Dla większe-
go wrażenia można wsadzić i Zośkę do balonu,
ona będzie śpiewała.

Dziewczynka wprawdzie głosu nie miała
i śpiewała bardzo słabo, ale Sam się o to nie
troszczył.

— Kto tam będzie wiedział jak ona śpiewa, jak to będzie tak wysoko — mówił — a ja jej każe, żeby głośno krzyczała.

Pan Schuster dał się namówić i ogłoszenie zrobiono, poza tem obaj dyrektorzy ułożyli się, że będą dawali przedstawienia na zmianę, co drugi dzień.

W dzień naznaczony całe miasto wyległo na duży plac, z którego miano słuchać owej nadziemskiej muzyki. Dyrektorzy zrobili wszystko, co było w ich mocy, by pokaz wypadł świetnie. Zebrano deski z całego miasteczka i porobiono z nich ławy.

Zniesiono też wszystkie pale i skrzynie, tak że miejsc siedzących było sporo, mimo to wiele osób musiało usiąść na murawie. Nikt jednak na to nie narzekał, każdy ciekawy był tak niezwykłego koncertu.

Jerzyk i Zośka nie obawiali się podróży balonem, tyle już rzeczy przeszli, tyle mieli przygód w swem życiu, że i jazda powietrzna nie przerażała ich, przeciwnie ciekawi jej byli. Pan Schuster jechał z nimi razem, a taki był dla nich uprzejmy i grzeczny, że woleli być z nim, niż z ordynarnym Samem.

Punktualnie o naznaczonej godzinie weszli wszyscy troje do łódki i balon powoli, powoli podnosił się ku górze.

Dziwnym był naprawdę widok tych dwojga dzieci, szybujących w górę. Zośka w białej sukience sypała z koszyczka kwiaty na widzów. Obok niej spokojny i poważny stał Jerzyk ze skrzypcami w ręku.

— Co to? naprawdę lecimy do góry? — zapytała dziewczynka.

— Ależ tak, tak — odpowiedział Jerzyk — widzisz jakie te drzewa i domy małe, a ludzie jak muszki.

Pan Schuster dał znak, by Jerzyk zaczął grać. Posłuszny chłopak pociągnął smyczkiem po strunach i rozległa się wesółą melodią czardasza. Z ziemi słyhać było oklaski i wołania.

Ale w tejże chwili stała się rzecz straszna, oto na czystem dotąd niebie pojawiły się czarne chmury, zerwał się szalony wichur i pędził balon do góry ku północy.

— Nie grać! siedzieć cicho — rozkazał kuglarz, usiłując wrócić do miejsca, skąd wylądowali, ale wiatr gnał w przeciwnym kierunku. Burza rozszalała na dobre.

I dzieci ogarnęło przerażenie. Przytuleni do siebie, siedzieli cicho, wichur wyrwał koszyczek z rąk Zośki, a Jerzyk z całej siły przyciskał skrzypce do piersi.

Naraz coś trzasnęło i wichur podniósł balon jak piłkę.

— Herr Gott, zginęliśmy! — krzyknął Niemiec — lina się urwała.

Tak balon zerwany został ze swej uwięzi a wichur poniósł go, wraz z ludźmi kędyś w świat daleki.

Zaszeleściło coś pod nimi, balon spadał na las, i po chwili zawisł na drzewach ciemnego boru.

Byli ocaleni.

Ale już z dołu dojrzano opadający balon, zbiegła się ludu gromada, zjawiło się kilku żołnierzy.

Wojna była dookoła, balon więc mógł być nieprzyjacielskim.

Otoczono pana Szustera, szarpano go ze wszystkich stron, ściągnięto z drzewa i wołano, że to szpieg, niechybnie szpieg wojenny. Niemiec tłumaczył się, ale nikt go nie słuchał.

O dzieciach nie wiadano, czy też nie troszczono się o nie. Dzięki nauce Sama, wygimnastykowani byli znakomicie, czepili się więc gałęzi i cichutko siedzieli. Bali się tłumu, który temu mądrymu Niemcowi, co to po powietrzu latał, wygrażał pięściami.

Żołnierze ściągali balon i nie zważając na rozpaczliwe wołanie Niemca, że jego dzieci zgina, poprowadzili go ze sobą. Myśleli, że on lamentuje po dzieciach, które w domu pozostawił.

— Zośka, co my teraz zrobimy? — zapytał Jerzyk — przecie nie będziemy tu siedzieć.

— A ja się boję zejść z drzewa — rzekła Zośka — a nuż nas złapią i zabiorą, jak tego Niemca.

— Już wszyscy poszli — rzekł Jerzyk, patrząc ku dołowi — zejdźmy na ziemię i wiesz co, uciekajmy, teraz chyba nikt nas nie złapie.

— A dokąd pójdziemy — zapytała dziewczynka.

— Jakto dokąd? do tatusia — odrzekł Jerzyk — do Warszawy.

I taka go radość ogarnęła na tę myśl, że w tejże chwili zaczął zsuwać się z drzewa, Zośka poszła za jego przykładem.

— No — mówił Jerzyk, stojąc już na ziemi — teraz gdzie pójdziemy?

A Zośka poradziła, by iść w stronę przeciwną tej, którą odprowadzono Niemca.

Poszli więc i zaraz weszli do głębokiego parowu. Chcieli iść dalej, ale nogi odmówiły im posłuszeństwa, tyle wrażeń przeszli, tak byli znużeni, że musieli usiąść. Przytulili się do siebie, skrzypce, których Jerzyk nie wypuszczał na chwilę, wysunęły mu się teraz z rąk, główki ich pochyliły się i usnęły snem głębokim.

Obudziło ich kukanie kukulki. W pierwszej chwili nie mogli zrozumieć co to znaczy, że śpią wśród lasu w parowie. Zaraz jednak ogarnęła ich wielka radość. Byli sami bez Sama, bez żadnego Cygana, Rumuna lub Niemca. — Zośka trochę się niepokoiła, za to Jerzyk był spokojny.

Wzięli więc skrzypce i poszli. Daleką była ich droga, długo iść trzeba było przez ów ciemny las.

— Zobaczysz Zośka — mówił — że my do mego tatusia trafimy. Sam kazał nam grać i tańczyć, i ludzie płacili mu pieniądze, my teraz będziemy ludziom tak samo grać i tańczyć, a za to poprosimy, by nam dali trochę chleba i tak będziemy szli, aż dojdziemy do samej Warszawy.

Głód im dokuczał. Zośka miała w kieszonce pierniczek, który jej dał przy wsiadaniu do balonu Niemiec, ucieszyli się nim bardzo, cóż kiedy był tak maleńki, ledwo, że starczyło go na jeden kęs. Napotkali źródło czystej wody w lesie, umyli się i napili, orzeźwiło ich to trochę i szli dalej. I znowu musieli nocować w lesie, a rano byli tak słabi, że ledwo już iść mogli.

— Poczekaj — rzekł Jerzyk do Zośki — usiądźmy trochę pod drzewami, ja zagram, może nas ludzie posłyszają.

I zagrał naprzód czardasza, a potem kołomyjkę, ale nikt widocznie nie był w pobliżu i nie słyszał jego muzyki, a jemu już tak ciążyły skrzypce, tak trudno było ruszać paluszkami po strunach. Grał jednak jeszcze.

— Cicho — zawołała naraz Zośka, która leżała obok na ziemi. — Ktoś jedzie, aż dudni. Słuchali oboje i rzeczywiście z lasu wyjechał jeździec jeden, a za nim drugi i trzeci. Jechali wprost na nich. — Jerzyk chwycił skrzypce i zaczął grać.

— A tóż co za krasnoludki! — zawołał pierwszy jeździec, dojrawszy dzieci. — Skądże tu ci artyści? Hej chłopcze, chodźno tu! — zawołał po polsku.

Jerzyk porwał się. Od tylu lat po raz to pierwszy ktoś do niego po polsku przemówił. Chciał biec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Legionista żołnierz skoczył z konia i pochwycił chłopca.

— Co to jest? — wołał — to dziecko mdleje! Koledzy dajcie manierkę z winem! Skąd wy? — pytał Zośki, która podeszła i chciwie patrzyła na wino, które tamten wlewał do ust Jerzykowi.

— My głodni, my bardzo biedni — szepnęła dziewczynka.

Dano i jej wina i chleba, poczem posadzono oboje na konia i powieziono ich do obozu legionowego.

Jerzyk tak osłabł, że nic mówić nie mógł, szukał tylko skrzypiec, a skoro mu je podano, przytulił się do wiozącego go legionisty i usnął.

Zośka zato na koniu, odzyskała siły i humor i zaraz z miejsca opowiedziała, jak to oni z Niemcem jechali balonem i dlaczego znaleźli się w lesie.

Jerzyk spał parę godzin. Gdy się obudził dostał jeść i dowiedział się, że jest w obozie polskich legionistów, balon ich bowiem przeleciał przez granicę i opadł na Bukowinie.

Ucieszył się tem chłopak, opowiedział swoim nowym opiekunom swoje przygody, nie mógł tylko w żaden sposób przypomnieć swego nazwiska, prosił zato usilnie, by go do ojca odesłano do Warszawy.

— Będzie to trudno tak zaraz, mój chłopcze, spełnić to żądanie — mówili legioniści — to to najgorsze, że nie wiemy, jak się twój tatuś nazywa, ale jakoś to się zrobi, bądź spokojny, już cię Cygani nie zobaczą. Odwieziemy was do ochrony dla dzieci legionistów; tam wam będzie najlepiej i tam z pewnością wyszukają waszego tatusia. Dzieci godziły się na wszystko, tacy dla nich wszyscy dobrzy byli, że cokolwiek bądź postanowią, uważali za najlepsze. Podróż koleją zachwyciła ich nadzwyczajnie, a widok Krakowa wywołał wielką radość.

VI. Zakończenie.

— Siostro Anno, przywieziono nam dwoje dzieci, czekają w kancelarii — mówiła jedna z opiekunek ochrony wchodząc do ogródka, w którym bawiły się sieroty po legionistach.

Siostra Anna siedziała wśród dzieci i opowiadała im coś bardzo ciekawego, bo cicho było

dokoła, a starsze i młodsze dzieciaki, siedziały wkoło niej i wpatrzone w nią, słuchały opowieści.

Nie była to zakonnica, lecz tak ją nazywali żołnierze, których pielęgnowała w szpitalu, więc i tu inaczej do niej nie mówiono. Wysoka, szczupła bardzo, siostra Anna była ładna, uśmiech miała słodki, ale oczy głęboko smutne.

Była główną opiekunką ochrony dzieci legionistów i nic się tu bez jej wiedzy nie działo. Dzieci kochały ją najbardziej ze wszystkich swych opiekunek.

W kancelarii ochrony czekali: legionista, Jerzyk i Zośka.

Otworzyły się drzwi i weszła ciemno ubrana kobieta.

W tejże chwili rozległ się krzyk silny, radosny.

— Jerzy! dziecko moje! — zawołała siostra Anna.

A Jerzyk zawisł u szyi matki. Legionista i Zośka patrzyli zdumieni.

— Więc ta pani, to matka Jerzyka?

Tak, była to matka, wyciągnęła ręce do młodego żołnierza i błogosławiąc go, dziękowała mu za to, że jej syna wrócił.

Jerzyk przypomniał sobie towarzyszkę swojej niedoli.

— Mamusiu — rzekł, biorąc Zośkę za rękę — zobacz, to Zośka, ona ze mną była i u Cyganów i w cyrku. Zawsze byliśmy razem — razem uciekaliśmy do ciebie.

— A teraz będziesz u nas córuchno kochana — powiedziała pani Żurawska, tuląc sierotę do piersi.

Tegoż dnia pani Anna wysłała depezę do męża.

Dzieci z ochrony były trochę zaniepokojone, że teraz, gdy siostra Anna ma swego synka i córeczkę, to do nich nie będzie przychodziła, ale pani Żurawska uspokoiła je, że póki wojna się nie ukończy, ona będzie ich opiekunką, a Jerzyk obiecał, że co niedzielę będzie im grał mamusine piosenki, więc radość była ogólna, a szczęście zupełne zawitało do rodziny, gdy w końcu p. Żurawski zwolnił się z wojska i przybył do Krakowa.

Rodzice cieszyli się odzyskanem dzieckiem, p. Żurawska twierdziła, że Bóg w swem najwyższym miłosierdziu, wynagrodził ją za wszystkie przebyte cierpienia, zwracając jej nie tylko syna, ale i dając córeczkę Zośkę. Opowiadano sobie wzajemnie przebyte przygody i cierpienia. — Jerzyk dowiedział się, że nieprzytomną w ciężkiej gorączce matkę jego znalazł leżącą pod drzewem patrol niemiecki. Młody porucznik, dowodzący patrolem był Polakiem. Widząc ciężko chorą, rzuconą samotnie w lesie, ulitował się i zabrał ją do obozowego szpitala, tam znaleziono przy niej pasport, którego szczęśliwie nie złapała Kutra i z niego dowiedziano się, że jest to żona austriackiego oficera. Przewieziona do szpitala w Poznaniu, p. Żurawska długo chorowała. — Powoli wróciła do sił i rozpacz ogarnęła ją na myśl o tem co się stało z Jerzykiem.

Jeździła do Kalisza, szukała wszędzie Macieja i jego rodziny, napróżno jednak. Nikt nie wiedział, gdzie są i co się z nimi stało. Próżno oboje rodzice robili poszukiwanie, ogłaszali w pismach, oznaczali nagrodę za oddanie dziecka, wieści żadnej zdobyć nie mogli.

Pan Żurawski musiał pełnić swój obowiązek i wciąż był w wojsku. Nieszczęśliwa jego żona nie mogąc odnaleźć własnego dziecka, pracowała jakiś czas w szpitalu wojskowym w Krakowie a potem objęła kierownictwo ochrony, w której się chowały sieroty polskich legionistów. Dzieciom tym biednym była opiekunką i matką najlepszą.

K o n i e c .

Lasy Lubartowskie 1917 r.

PASS
P